

TYGODNIK GDAŃSKI

PISMO CZŁONKÓW I SYMPATYKÓW NSZZ

SOLIDARNOŚĆ

ROK I 27 SIERPNIA 1989 CENA ZŁ 150

Express poranny

18 maja
wtorek

GAZETA CODZIENNA cena 15 gr

„To nie my zaciągnęliśmy ten dług!”

PREZYDENT RP ODRZUCA

DEFINITYWNE PROŚBY BANKÓW ZACHODNICH O SPŁATĘ 40 mld. dolarów

„Niech to będzie pierwsza rata
odszkodowania za zdradę jak-
tańską” — mówią poskowie

DZIEKAN WYDZ. HISTORII UW.
prof. Adam Michnik —
DOKTOREM HONORIS CAUSA
UNIwersytetu MOSKIEWSKIEGO

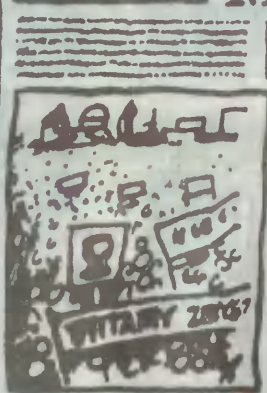
KONFERENCJA PRASOWA
ONYSZKIEWICZA

Przewodniczący NSZZ



L. Wałęsa

WZNAWIA
ROZMOWY
W SPRAWIE WOL-
NYCH PIĄTKÓW.



VE TO

Frasyniuka!

Z. BUJAK

W KOWNIE

J. Kuroń krytykuje
ostro ministra policji



ŻELIŹA SIĘ
REFERENDUM
W SPRAWIE
UNII POLSKO-
WĘGERSKO-
SŁOWACKO-
CZESKIEJ

WEŹ UDZIAŁ
W BIEGU O
ZŁOTE
TRAMPKI
RULEW-
SKIEGO!



7. Fedorow

JUŻ JUTRO! W KINIE VICTORIA
(DAWNIEJ „SALA KONGRESOWA”)

WIELKI KONCERT

DOBROCYNNY
NA RZECZ UCHODźCÓW
ZE SZWEDZKIEJ REPUBLIKI SOC-
JALISTYCZNEJ BILETY: SPATIF, ZASP,
i „AMNESTY INTERNATIONAL”

Anarchole i sezony

W Waszyngtonie nie tańczą

Wyłom

Jest afera?

WIDZIANE Z GDAŃSKA

Jan Jakubowski

Co robi Mazowiecki?

Gen. Czesław Kiszczak nie powinien być premierem — to większości społeczeństwa wydawało się jasne. Tadeusz Mazowiecki może sprawować urząd premiera — to dla wszystkich jasne nie jest. Jego nominacja spowodowała powszechne zaskoczenie. Od czasu „okrągłego stołu” był postacią praktycznie niewidoczną na scenie politycznej. Odmówił kandydowania do Parlamentu, nie udzielał wywiadów ani telewizji, ani polskojęzycznym rozgłośniom. Wrócił do reaktywowanego „Tygodnika Solidarność”, lecz i na jego łamach, w odróżnieniu od Adama Michnika, który na łamach swej „Gazety Wyborczej” co rusz ogłasza płomienne manifesty, Mazowiecki zabiera głos rzadko. Za to pismo przez niego redagowane publikuje szerokie spektrum opinii zarówno na temat Związku, jak i sytuacji w kraju. Dla osób patrzących przez pryzmat owego pisma Tadeusz Mazowiecki nie rysuje się jako postać wyrazista, tak chociażby, jak Jacek Kuroń czy Bronisław Geremek, którzy też wchodzili w grę jako kandydaci „Solidarności” na premiera.

W życiu T. Mazowieckiego nie było fascynacji marksizmem ani rozczarowań z powodu rozminięcia się praktyki z teorią. Społeczna nauka Kościoła, znacznie mu bliższa, okazała się głębią pewniejszą i trwalszą. Na tym podłożu kształtował się jego światopogląd, współgrający z cechami charakteru: prostolinijnością, uczciwością, powściągliwością w wyrażaniu opinii skrajnych. Czy te cechy umożliwiają kierowanie rządem, pierwszym od 45 lat rządem niekomunistycznym w Polsce? I czy rząd taki, o ile powstanie, potrafi przełamać najgłębszy od czasów wojny kryzys w kraju? Na te pytania nie ma dziś odpowiedzi.

Komuniści oddają rząd bez spodziewanej hysterii. Nareszcie będą mogli zrzucić z siebie odium społecznego gniewu, który z taką siłą uwidocznił się podczas wyborów, a który wzbiął w narodzie od lat. Mają wszakże zagwarantowane dwa resorty potencjalnej represji. Rząd Mazowieckiego i nowa koalicja w Parlamencie powinny zrobić wszystko, aby resorty te (MON i MSW) uczynić politycznie

Cięty dowcip Jacka Fedorowicza towarzyszył nam regularnie w latach 1980-81 co tydzień przez 60 minut na godzinę. Później autor zmienił formę wypowiedzi: miast słowem przemówił do nas kreską. Jego rysunki rozjaśniały nieco ponury mrok „wojennej” codzienności, pomagały przetrwać w jakiejś takiej kondycji psychicznej. Niekiedy nawet ich optymizm wydawał się nadmierny... Ale oto dziś życie przerosło kabaret. Chyba mało kto (z samym Fedorowiczem włącznie) przypuszczał, że prorocтво wyrażone w powyższym rysunku sprzed trzech lat ziści się tak szybko, choć może niezbyt dosłownie. Oto Lech Wałęsa zamiast wszczynać z prezydentem negocjacje w sprawie wolnych piątek, sam omal nie został prezydentem. Jacek Kuroń w ostrej krytyce ministra policji dał się zdystansować połowie izby poselskiej. Michnik redaguje najpoważniejszą gazetę, zaś do Kowna wybrałaby się cała czołówka solidarnościowo-opozycyjna (zaraz jaka opozycyjna? co to za opozycja, gdy Mazowiecki zostaje premierem?! a nie tylko Zbigniew Bujak. W jednym tylko szczególe „kolega” Jacek Fedorowicz trafił kulą w płot. Nawet jeśli faktycznie odmówimy spłaty czterdziestomiliardowego długu w dolarach, to i tak żadna gazeta w Polsce nie będzie już nigdy kosztowała piętnastu groszy.

WIDZIANE Z GDAŃSKA

Co robi Mazowiecki?

dokonczanie ze str. 1

neutralnymi. To podstawowy warunek przemian demokratycznych. Dalszy — to złamanie monopolu nomenklatury we wszelkich sferach administracji państwowej i gospodarczej, choć nie mniej ważne jest, aby jednej nomenklatury nie zastąpić drugą. Biurokracja, jako pokusa wygodnego życia przy pomocy nadawanych sobie przywilejów, ma przedziwną zdolność odradzania się.

Rząd Mazowieckiego będzie musiał ułożyć sobie stosunki ze Wschodem i Zachodem. Truizmem jest, że od Wschodu oczekujemy stosunków partnerskich; ale powinniśmy również poznać cenę, jaką płacimy za obecność w Bloku i utrzymywanie przy życiu tak zwanych ruchów narodowo-wyzwoleńczych. Rząd powinien mieć pewność, że społeczeństwo polskie takie ruchy popiera. Równie ważne będzie ułożenie wymiany handlowej na jasnych i obustronnie (jednakowo) korzystnych przelicznikach walutowych. Od Zachodu natomiast Polska ma prawo oczekiwać pomocy jako ofiara wojny, nie z własnej woli, ale z powodu biernego przyzwolenia sojuszników nie mogąca skorzystać z dobrodziejstw Planu Marshalla. Wpływowe kręgi na Zachodzie powinny zrozumieć, że wstrzymując, jak twierdzą, znaczącą pomoc do czasu, aż w Polsce w pełni zwycięży demokracja i wolna gra sił rynkowych, w istocie mogą uniemożliwić rzeczywiste ich zaistnienie.

Rząd Mazowieckiego musi mieć możliwość komunikowania się ze społeczeństwem. Najpotężniejszym środkiem masowej komunikacji społecznej jest dziś telewizja, pozostająca w całości w rękach partii. Nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć ostrość walki, jaka rozegra się o ten „rząd dusz”. Ale najważniejsza walka rozegrana zostanie w gospodarce. Niestety, poza czynnikami omówionymi wyżej ani „Solidarność”, ani koniunkturalnie sprzymierzone z nią partie koalicyjne nie mają w tej dziedzinie jednoznacznej recepty. Nikt jeszcze np. nie odważył się powiedzieć: reprivatyzujemy gospodarkę; bo nikt nie wie, czy otrzymaliby społeczne przyzwolenie. Z kolei innej, prawdziwie skutecznej drogi rozwoju gospodarczego na świecie nie zrealizowano. Czy potrafi ją wymyśleć ekipa pod wodzą Mazowieckiego? Oto najważniejsze pytanie, jakie rodzi się w momencie, w którym staje on przed próbą utworzenia rządu.

Jan Jakubowski

Wielka czy rządowa?

Koncepcję wielkiej koalicji sejmowej przedstawił w 1981 roku Ryszard Reiff, dając jeden z wygodnych pretekstów do wprowadzenia stanu wojennego, jako iż był to jawny zamach na wyłączną władzę partii. Potem sama PZPR ogłosiła pomysł na współwładzę jako swój, oskarżając każdego, kto miał wątpliwości, o destrukcję. Sens był jeden — koalicją dalej rządzi partia. Teraz faktem staje się koalicja rządowa: „Solidarność”, ZSL i SD. Owa koalicja nie broni się przed współpracą z PZPR — nie ma sensu zamazywanie istoty tej współpracy nachalnym upieraniem się przy „wielkiej koalicji”, co czyni partyjna propaganda.

Na ile obecna konstelacja okaże się związkiem trwałym, zależy — według senatora Lecha Kaczyńskiego, jednego z jej kuluarowych negocjatorów — od bardzo wielu czynników. Najważniejszym z nich jest stopień przekształceń zachodzących w ZSL i SD. Jest szansa na to, że o ile ten proces pójdzie rzeczywiście głęboko, to koalicja przetrwa dłuższy czas. Nie można jednak wykluczyć, że obecna koalicja będzie tylko sojuszem na okres wstępnego ratowania gospodarki i że z czasem zostanie zastąpiona przez koalicję szerszą albo węższą. (O koalicyjnych „gabarytach” piszemy też na ostatniej stronie).

Bez litości

Podstawowa, widoczna gołym okiem różnica pomiędzy urynkowaniem gospodarki żywnościowej a dawnymi „operacjami cenowo-dochodowymi”, „regulacjami cen” itp. polega na tym, że po gwałtownej podwyżce od 1 sierpnia nie nastąpiła cisza, tylko ceny rosły nadal — i jest to proces, którego końca nie widać. Wysłuchując co rano radiowych wiadomości, można się dowiedzieć danego dnia, że mleko najtaniej kupować w Grójcu, ser w Kaliszu, masło w Pułtusku, a schab w Pile. Kiedy się jednak wejdzie do sklepu, okazuje się, że mass-media nie nadążają za urynkowaniem. Przez noc z czwartku na piątek kostka masła zdrożała w Gdańsku z 820 zł do 1400 zł. W poniedziałek rano mleko pełne kosztowało 195 zł za litr, a bochenek chleba 245.

Obywatele próbują za tym wszystkim nadać. Już prawie nikt nie walczy o podwyżki mniejsze niż 100 tys. zł, a zdarzają się postulaty podniesienia wynagrodzeń o dwieście i trzysta tysięcy zł miesięcznie. Wszyscy pobyli się złudzić, że ceny powinny mieć cokolwiek wspólnego z rzeczywistością kosztami wytwarzania, a płace — z pracą. Kto szybciej podniesie ceny, kto wcześniej wywalczy wzrost płac, ten wygrywa. Nie ma na tym „rynku” sentymentów i litości, nie ma też towarów.



Czeski błąd

Sejm PRL, w ślad za Senatem, po dwudziestu jeden latach nazwał sierpniową interwencję wojskową Układu Warszawskiego w CSRS naruszeniem prawa Czechów i Słowaków do samostanowienia, wolności i demokracji. Udział Wojska Polskiego w tym akcie odbył się bez zgody polskiego społeczeństwa. Gwałtowna reakcja prezydentów obu Izb Zgromadzenia Federalnego CSRS odpowiada staremu stylowi Vasilu Bilaka — temu, który kiedyś „zaprosił” obce wojska do swego kraju. Czescy i słowaccy towarzysze zarzucili polskiemu Sejmowi niekompetencję i brutalną ingerencję w wewnętrzne sprawy Czechosłowacji. „Solidarność” oskarżana jest o wspieranie zamieszek i destabilizację społeczną w bratnim kraju, a sejmowe oświadczenie zakwalifikowano generalnie jako podważające gorbachowską przebudowę i nowe myślenie w CSRS.

Z Katyniem do prokuratora

Głuche milczenie po radzieckiej stronie — tak, jak ciągle istniejący w Katyniu obraźliwy napis o hitlerowskich sprawcach zbrodni — nie pozwalają na jednoznaczne, oficjalne nazwanie morderców po imieniu i wyjaśnienie dramatu do końca. Dobijanie się polskich historyków do radzieckich archiwów niewiele dało, jest bowiem albo za słabe, albo trafia w pustkę. Komisja do upamiętnienia ofiar represji okresu stalinowskiego, działająca pod przewodnictwem Zenona Komendera przy Radzie Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, określiła morderstwa na polskich oficerach i ludności cywilnej popełnione w Związku Radzieckim jako zbrodnie nie podlegające przedawnieniu.

Zgłoszono formalny wniosek do prokuratora generalnego PRL o rozpoczęcie śledztwa i wystąpienie do właściwych władz radzieckich o wyjaśnienie tajemnic tych zbrodni w ramach normalnej procedury prawnej.

Ruble za dolary

W senackiej dyskusji budżetowej ujawniono, że średnia cena węgla w eksporcie wynosiła w ubiegłym roku 55 dolarów za tonę dla II obszaru płatniczego i 44 ruble za tonę dla I obszaru. Jest to m.in. rezultat polityki kursowej ZSRR, sprawiającej, że w oficjalnych rozliczeniach handlowych rubel ma wyższą wartość od dolara. Taka polityka kursowa powoduje ewidentne straty dla eksporterów w ramach całego RWPG, kiedy w transakcjach punktem wyjścia dla ustalania cen są ceny światowe.

Zmiana tego zupełnie oderwanego od realiów ekonomicznych systemu kursowego jest jednym z głównych postulatów gdańskich stoczniovców, którzy widzą w nim przyczynę nieefektywności produkcji statków dla ZSRR. Natomiast p. Piasecka-Johnson oświadczyła, że w jej rozliczeniach za sprzedawane statki 1 dolar na pewno nie będzie wart 62 kopiejek.

Twarożek

Pełnomocnik rządu ds. urynkowania Andrzej Głowacki poinformował telewizję, że dostawy podstawowych artykułów spożywczych w sierpniu były wyższe niż w tym samym okresie roku ubiegłego. Galopada cenowych artykułów jest więc — zdaniem pełnomocnika — zjawiskiem nie uzasadnionym i karygodnym.

O ile z ostatnim stwierdzeniem min. Głowackiego można się zgodzić bez zastrzeżeń, o tyle pierwsze budzi poważne wątpliwości i nieufność do oficjalnych danych. W ubiegłym bowiem roku bez trudu kupowało się chleb, mleko, ser twardy i twarogi, o zaparkach i occie nie wspominając. W tym — trzeba zdobywać te podstawowe artykuły w długich kolejkach. Można zrozumieć, że wygłodzony rynek pochłania każdą ilość np. kukuru, herbaty czy makaronu; trudno natomiast uwierzyć, że ludzie wykupują na zapas mleko i chleb, lub lokują inflacyjną złotówkę w twarogu. A jednak towarów tych również brakuje!

Albo więc zastrajkowały krowy, albo chłopci wstrzymują dostawy mleka do czasu uzyskania wyższych cen skupu, albo pośrednikom — monopolistom bardziej opłaca się produkować kazeinę i piec ciastka niż zaopatrywać nas w chleb i nabiał. Po namyśle — krowy i chłopów trzeba by jednak zwolnić z odpowiedzialności. Pozostają pośrednicy, przez niektórych z przyzwyczajenia nazywani handlowcami. Ci, znani z pocucia humoru, zapełnili półki sklepów importowanymi sokami po 5 tys. zł, figami po 7 tys. zł i tym podobnymi artykułami pierwszej potrzeby, a także czymś białym, miękkim, co bez wahania należałoby nazwać twarogiem, gdyby nie leżąca na tym kartka z ceną 1200 zł.

Szczęście palacza

Wędrowniaki po mieście w poszukiwaniu nielicznych czynnych kiosków „Ruchu” kończą się tym samym. Na każdym z nich karteczka z identyczną informacją: „papierosów oraz zapalek brak”. Odwiedzanie restauracji, kawiarni i zwyczajnych knajp daje identyczny efekt. Potem wyjścia są trzy: jeśli jest się „krajowym dewizowcem” — idzie się do „Pewexu” i po kłopotach, jeśli się walutą nie dysponuje, nerwowo szuka się znajomych palaczy i żebrze; jeśli i to zawiedzie — kupuje się w prywatnym kiosku kolonialnym paczkę byle czego za 3,5 tys. złotych i rozpoczyna odzwyczajanie od nałogu. Jest jednak takie miejsce, w którym bez trudu nabywa się karton Landów, Holtów, Kapitanów lub Opali, a także zapalczki po 23 złote za pudełko (na czarnym rynku „stoja” po 150). Tą oazą obfitości jest kiosk w budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku. Dalszych apartamentów w tym gmachu bronią cerberzy, nie wiadomo więc, jakie niespodzianki czekają na przykład w komitetowym bufecie.

Chińskie rozwiązanie

„Droga Redakcjo! Jestem mieszkanką Gdyni i z ciężkim sercem patrzę na przejawy niegospodarności, bezmyślności w naszym mieście. Ostatnio zbulwersował mnie los tzw. budynku socjalnego Chińskiego-Polskiego Towarzystwa Okrętowego przy ul. Tatrzańskej 6 B. Był on kiedyś własnością PLO i przekazany został Chipolbrockowi. Znajduje się w nim 30 mieszkań dwupokojowych; każde z kuchnią i pełnym wyposażeniem, a ponadto dwie duże sale. Kiedyś mieszkali tu pracownicy PLO. Teraz dowiadujemy się, że cały obiekt (zbudowany w 1961 roku) ma być do fundamentów rozebrany, a na tym miejscu stanąć ma co innego. Od miesiąca nikt tu nie mieszka; tylko dozorca pilnuje pustych pomieszczeń. Sytuacja mieszkaniowa w Gdyni jest dramatyczna. Oddziały szpitalne są zamykane, ponieważ brakuje hotelu dla pielęgniarek. Studenci nie mają akademików. A tu zamierza się zniszczyć 30 gotowych mieszkań! Czy stać nas na taką rozrzutność? Czy Chipolbrockowi nie można wskazać innej lokalizacji, a budynek oddać najbardziej potrzebującym? Zajmijcie się tą sprawą!”

J G

(nazwisko do wiadomości redakcji)

Koniec monodramu

A więc tak się przechodzi do demokracji... Wystarczy wygrać wybory, a wtedy droga do sformowania własnego rządu stanie otworem? Mechanizm ten średnie pokolenie zna przecież tylko z podręczników historii i z kronik politycznych wydarzeń cywilizowanego świata. Czerwcowe wybory — choć wtedy jeszcze, zaskoczeni, nie wiedzieliśmy, co zrobić z tym zwycięstwem — oznaczały właśnie to wszystko, co następuje teraz dzień po dniu.

To naprawdę zdumiewające uczucie, gdy ciężka szafa stojąca dotychczas w niewłaściwym miejscu naszego mieszkania, nagle zaczyna ustępować pod naporem, rusza, sunie po podłodze i ustawia się na swoim miejscu. Pod ścianą...

Wiecej przestrzeni? — Nie szkodzi — tak właśnie jest normalnie.

*

Przedłużający się spektakl wystąpień parlamentarnych — tym razem

z szerokim udziałem opozycji, zaczynał drażnić. Utarczki poselskie, przytaczane raczej moralne zdawały się tworzyć ślepe zakola, nie wywołujące żadnych zmian. Krótkie sformułowanie Lecha Wałęsy na jednej z konferencji prasowych po wygranych wyborach podejmuje Adam Michnik — zamyka w formule „Wasz prezydent — nasz premier”. Publicystyka polityczna też jednak nie jest wystarczającą siłą sprawczą. Dopiero manewr koalicyjny Wałęsy zaskakuje wszystkich...

Bilardowe uderzenie w dotychczasowy zestaw trzech partnerów koalicyjnych — PZPR, ZSL i SD — otwiera drogę do nowych konfiguracji. Misja Jarosława Kaczyńskiego poprowadzenia rozmów ze stronnictwami przynosi nadspodziewanie pozytywny odzew w bazie... Kierownictwa stronnictw — wywołane oświadczeniem Wałęsy do tablicy, muszą się z nim liczyć. Zobowiązania koalicyjne zaciągały raczej

we własnym imieniu, widać przekroczyły one granice domniemanego ryzyka.

Dochodzą (ciągle jeszcze) monity ze strony PZPR przypominające o nich, ale... Generałowie jakby zaczęli respektować kompetencje polityczne cywilnych formacji. Jaruzelski, po złożeniu przysięgi prezydenckiej, staje formalnie na pozycji ponadpartyjnej. Generał Kiszczak ogłasza fiasco swej misji rządowej. Lech Wałęsa, po wyjściu z rozmów w Belwederze, z aktorskim wyczuciem skrótu staje po środku dwu nowych formalnych partnerów koalicyjnej rządowej — podnosi uściśnięte ręce do góry. Stało się. PZPR w opozycji?

*

Kandydatów — znowu, formalnie rzecz biorąc — było trzech: Bronisław Geremek, Jacek Kuroń, Tadeusz Mazowiecki. Podczas ostatniego posiedzenia Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności” Wałęsa, otwierając ciąg decyzji, które doprowadziły do tej jednej kandydatury, powiedział: Z panem Bronisławem jeszcze zagramy, na razie jest potrzebny na stanowisku szefa Obywatelskiego

Klubu Parlamentarnego, jego zadaniem jest kształtowanie modelu polskiej demokracji. Przyznał, że wysunięcie drugiego kandydata, Jacka Kuronia — było raczej kurtuazyjnym gestem uznania jego zasług i błyskotliwych udołnień.

O tym trzecim, który rozpoczynał konsultacje polityczne w Warszawie, nie powiedział nic...

Tadeusz Mazowiecki. Od Sierpnia 1980 roku tworzący przy Lechu Wałęsie stały tandem z Bronisławem Geremekiem. Dwu największych — i nieprzypadkowo właśnie dwóch... Wspólnie dopiero tworzą balans wyrażający równowagę sił społecznych popierających potężną ideę „Solidarności” jako polskiego sposobu odzyskania suwerenności. Jest w nim poczucie tradycji przenikniętej katolicyzmem i dążenie do demokracji lewicowej raczej proveniencji. Nurty te splatają się, kojarzą, to rozchodzą. Godzi je poczucie odpowiedzialności za Polskę, poczucie misji...

Kiedy tworzy się Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie i następuje błyskawiczne sformowanie list kandydatów do parlamentu — Lewica zagrywa *va banque*, bez wątpliwości. Tadeusz Mazowiecki zgłasza zastrze-

żenia co do trybu wysunięcia reprezentacji społecznej, rezygnuje z kandydowania. W czołówce politycznej, kreującej solidarnościową koncepcję zmiany, następuje pewne zwichnięcie proporcji. Grozi to ograniczeniem społecznego poparcia dla „Solidarności”, narastaniem dystansu w stosunku do niej ze strony Kościoła...

*

— Trzeba uwierzyć w to, że ten naród, który jest wspianiałym narodem, może doprowadzić do tego, żeby w Polsce lepiej się żyło, żeby w Polsce nikomu niczego nie brakowało, a żeby nikt nie wyjeżdżał. To poczucie bezradności i beznadziei musimy dziś, w tym historycznym momencie odrzucić. Bo nikt inaczej nie zrobi, jeżeli nie uwierzy. Dlaczego mamy być narodem, który nie potrafi, nie umie, który jest skazany? — powiedział w swym pierwszym przemówieniu w Gdańsku Tadeusz Mazowiecki. Powiedział to człowiek, za którym stoi całe doświadczenie drogi „Solidarności”, wszystkich jej nurtów, a także jego osobisty autorytet moralny.

— Adam Kinaszewski

Jacek Kurski

ORP „Solidarność”

Zyjemy w kraju, w którym nie można sfotografować się na tle dworca — i to w czasach, gdy zdjęcie muchy na rozjeździe kolejowym robi każdy satelita. Co dopiero mówić o założeniu NSZZ „Solidarność” w zakładzie zbrojeniowym. W Stoczni Marynarki Wojennej im. Dąbrowszczaków w Gdyni panuje wciąż pogotowie bojowe trzeciego stopnia. Wszystko jest zakazane, a „Solidarność” najbardziej.

Związek pod parą

W latach 1980–81 skupiała ona 90 proc. załogi, to jest około 4 tys. osób, podczas gdy do związku metalowców należało 9 proc., zaś do NSZZ Pracowników Cywilnych Wojska... 1 proc. Stocznia Marynarki Wojennej była 143, zakładem na blisko 800, które w Sierpniu '80 przystąpiły do MKS-u w Gdańsku. 18 sierpnia wybuchł strajk solidarnościowy. Dyrekcja nakazała opuścić zakład. Ludzie jednak zostali. Komitetowi strajkowemu grożono, że strajk w resecie MON pchnie władzę do użycia siły. W końcu, wobec prób prowokacji — „spowodowanie awantury z marynarzami jednostek wojskowych obcej bandery” (a nie była to bandera państwowa Burkina Faso) — KS zawiesił strajk, dając świadectwo rozsądku i umiarkowania. Utrzymywano natomiast gotowość strajkową, zorganizowano pomoc dla strajkujących i wiece poparcia.

Po Sierpniu dyrekcja próbowała negować zasadność istnienia „Solidarności”. W Stoczni MW, ale bezskutecznie. Związek zaczął działać pełną parą. Trudno znaleźć człowieka, który mógłby mieć pretensje do pracy „Solidarności” w latach 1980 i 1981. Była ona bardziej dynamiczna niż w wielu zakładach produkcji cywilnej. Ludzie czuli, że ktoś za nimi stoi, a największym sukcesem stoczniowej „Solidarności” w tym okresie było zawarcie z władzami resortu tzw. porozumienia postrajkowego. Nastąpiło to 18 października 1980 w obecności członków Komisji Rządowej: T. Fiszbacha

i J. Kołodziejewskiego — na podstawie protokołu Porozumienia Gdańskiego. Gwarantem porozumienia był... resort Obrony Narodowej, co brzmi dzisiaj jak bajka o żelaznym wilku.

W lipcu '81 udało się Związkowi odzyskać przystoczniowy kościół garnizonowy. Poświęcony tuż przed II wojną, został zamieniony przez Niemców w magazyn drewna i pozostał takim przez 36 lat Polski Ludowej. Zapytany dzisiaj, dlaczego „Solidarność” mogła wtedy istnieć, Mirosław Kamiński (rocznik 1954), ówczesny wiceprzewodniczący KZ i delegat do MKS-u odpowiada bez wahania:

— Tamten strajk był po prostu wygrany. Euforia, energia i presja społeczna — ogromne. Porozumienie Gdańskie było dokumentem daleko „mocniejszym” niż umowy „okrągłego stołu”. Dawało ono prawo tworzenia „Solidarności” wszędzie, bez żadnych ograniczeń. Uzgodniony z „Solidarnością” projekt ustawy o związkach zawodowych, który wpłynął do Sejmu 5 grudnia 1981, zezwalał na istnienie „Solidarności” w zakładach podlegających MON i MSW.

Przeciał to stan wojenny. Przyszłość władze uznawały za niebyłą.

Ale i w „karnawale” lat 1980/81 władze blokowały „Solidarność” w niewłaściwych dla niej branżach. Kamiński kierował wtedy komisją koordynacyjną pracowników cywilnych MON i MSW, i pamięta, jaka była ściana przed uznaniem „Solidarności”. Zwłaszcza w mniejszych jednostkach, takich, jak WAT, szpitale MON i MSW, garnizonowa administracja mieszkaniowa. W grupach remontowo-budowlanych w Szczecinie zwolniono 33 osoby i Związek tych ludzi nie obronił. Opory były w zakładach budowlanych Wrocławia i Torunia. Ze szpitala MSW w Łodzi wyrzucono 5 założycieli „Solidarności”. Wygrali w sądzie, ale komendant ich nie przyjął. Wtedy region stanął na godzinę i w końcu zostali przyjęci. Komendant odwołał się do Sądu Najwyższego. Ten orzekł, że „Solidarność” ma prawo działać wszędzie tam, gdzie zatrudnia się lu-



Fot. Leszek Pękalski

dzi na zasadzie umowy o pracę — również w MON i MSW.

Stocznioy „marwoju” takie właśnie umowy podpisali. A skoro orzeczenia SN stają się niemal aktami prawnymi...

Wszystkie lufy na załogę

Trzynastego grudnia 1981 o 6.00 rano Kamińskiego zabrało trzech wojskowych. Oddany w ręce milicji, po paru godzinach znalazł się w Strzebielinku. Gdy w poniedziałek ludzie przyszli do pracy — na bramach stało wojsko. W mroku grudnia nocy wchodzących oślepiły reflektory, a z megafonów nieustannie „leciał” komunikat oznajmiający, że zakład jest zmilitaryzowany, obowiązuje system rozkazodawstwa, zaś za odmowę wykonania rozkazu grozi kara, do kary śmierci włącznie. Jednostki pływające zacumowane w stoczni

miały lufy skierowane w stronę mola i nabrzeży, gdzie przebywali stoczniowcy.

Leonowi Stobieckiemu, przewodniczącemu stoczniowej „Solidarności” — z nie istniejącej już filii SMW na Westerplatte — udało się wejść do stoczni na Oksywie. Lokal komisji zakładowej był zdemolowany, maszyny do pisania i urządzenia rozbite. Zniszczono wszystko, w obawie, że Związek może mieć materiały obciążające stoczniowych prominentów. Grupa działaczy zaczepiona została przez partol WSW. Porucznik Maćko, późniejszy wieloletni prześladowca „Solidarności”, zawiadomił o zebraniu związków zawodowych w dyrekcji. Dyrektor zażądał podpisania oświadczenia o przyjęciu do wiadomości warunków stanu wojennego. Odmówili, zaś Stobiecki domagał się obecności Kamińskiego. Wówczas poproszono go do sąsiedniego pokoju; wielu słyszało szept, prawdopodobnie kogoś z kierownictwa: „Niech pan tam nie idzie”. Przewodniczący KZ „Solidarności”, przekroczywszy próg, został uderzony w twarz, dostał kolbą przez plecy. Skopanego i skutego w kajdanki powleczono po schodach do fiata. Po paru godzinach znalazł się w Strzebielinku.

Utworzyła się tajna komisja, jak w każdym większym zakładzie, kiedy jeszcze konspirowała połowa społeczeństwa. Wychodziła „Solidarność Dąbrowszczaków” (przetrawiała do dziś) oraz „Iskra”. Wkrótce kierownicy, pod groźbą zwolnienia z pracy, zaczęli wręczać przygotowane przez PZPR formularze wystąpienia z „Solidarności”. Biorącym urlopy mówiono, że po urlopie mogą nie wracać i ponownie wręczano formularze. Wielu ujawniło się twardych, i to takich, po których się tego nie spodziewano. W dużej mierze jednak akcja była skuteczna.

Z czasem Związek bardziej było widać w kościele niż w stoczni. Symptomatyczne jednak i rozsądne, że wobec nieuregulowania dzisiejszego statusu „Solidarności”, w zakładzie, jeszcze się nie rozwiązała tajna komisa.

Wojna psychologiczna

Jesienią 1988 sformował się komitet organizacyjny „Solidarności” Stoczni Marynarki Wojennej. Formalnie zaistniał 3 lutego br., wysyłając do szefa MON, gen. Siwickiego, zawiadomienie o wznowieniu, zgodnie z wolą członków, działalności Związku w Stoczni.

Dyrektor naczelny, komandor Ferdynand Dwórnik, wypowiedział wojnę odradzającej się „Solidarności”. Najpierw nakazał zdzieranie plakatów komitetu organizacyjnego. Za-

częły wtedy się obrady „okrągłego stołu”, na czas trwania których strony umówiły się co do bezproblemowego powstawania ogniw „Solidarności” w zakładach pracy. W „marwoju” było inaczej. Tadeuszowi Deji z KO „S” komandor Kaplań groził zwolnieniem z pracy; Eugeniusza Lecieja odwołano ze stanowiska brygadzysty na UW-5. Dyrektor Dwórnik zapowiedział, że po zakończeniu „okrągłego stołu” znacznie zwalnia organizatorów Związku. Sekretarce zabronił kwitowania pism kierowanych przez „Solidarność”. Gdy w związku z tym 23 marca delegacja udała się do niego w celu komisyjnego wręczenia uchwały podjętej na wiecu załogi, dyrektor spisał nazwiska przybyłych i oświadczył, że przyjęcie do niego traktuje jako opuszczenie stanowiska pracy. Posypały się nagany i kary regulaminowe. Dorównał tu sprytem gen. Sierowowi, bowiem tego samego dnia Kamińskiemu usiłowano wręczyć (ale nie przyjął) upomnienie za niestawienie się w dyr. naczelnego poprzedniego dnia. Kierownicy i mistrzowie — m.in. kierownik Hering z PW-4 — przeprowadzali dziesiątki rozmów ostrzegawczych, groząc karą dyscyplinarnymi, do zwolnienia włącznie.

Tymczasem do KO „S” bardzo szybko wpłynęło ok. 800 deklaracji członkowskich, a pobrano drugie tyle. Ludzie publicznie zaczęli nosić znaczki. Komitet „S” podjął w anormalnych warunkach normalną działalność statutową, wypłacając zasiłki, zapomogi, udzielając porad prawnych i wydając własny biuletyn. Od lutego do kwietnia zorganizowano trzy wiece, z których każdy zgromadził ok. tysiąc ludzi. Wkrótce „Solidarność” wygrała małą wojnę psychologiczną: odpisy uchwalił i pism komitetu zaczęto wręczać kierownikom, którym głupio teraz było zrywać je z tablic ogłoszeniowych. Czasem zniknęły jeszcze bądź były niszczone całe tablice, ale tylko w tych działach, gdzie Związek nie miał konkretnego przedstawiciela, i oczywiście w „Manhatanie” (biurowiec dyrekcji). Wszystkie oświadczenia zanoszono do dyrektora, by nie można było zarzucić „Solidarności” partyzantki. Ludzie zaczęli wypisywać się ze Związku Zawodowego Pracowników Wojska, który ciągle liczył ok. 2000 członków, zmuszonych do przystąpienia doń w stanie wojennym i po nim.

Sam fakt istnienia komitetu sprawił, że z „Solidarnością” zaczęto się liczyć. Dyrekcja ciągle jednak odmawiała przyznania siedziby, a nawet świetlicy na czas zebrania „Solidar-

Zgodnie z zasadą *audiat et altera pars*, udam się do dyr. Ferdynanda Dwórnik dla wyjaśnienia spraw, które go w moim tekście obciążają. Dowiedziałem się, że prasa kłamie, wszyscy chcą go zniszczyć (on się nie da) i żadnej rozmowy nie będzie. Pytania — tylko na piśmie, odpowiedzi też, bez prawa mojej kontroli i bez jakichkolwiek zmian w tekście, co ostatecznie uniemożliwiło wkomponowanie wypowiedzi w zasadniczy tekst.

Pisemne odpowiedzi kmdr. Dwórnik świadczą o zdecydowanie odmiennych niż mój punkcie widzenia na sprawę. Jego prawo, gdy chodzi o interpretację faktów. Byłoby natomiast gorzej, gdyby niektóre fakty pokręcił lub pominął. Mam nadzieję, że Czytelnicy „TG” pomogą je zwerfikować.

J. K.

— Dlaczego nie pozwala pan na istnienie „Solidarności” w SMW, skoro obecna ustawa o związkach zawodowych zostanie wkrótce anulowana?

— Podstawą funkcjonowania każdego państwa jest przestrzeganie obowiązującego prawa i nikt poza organami ustawodawczymi nie jest uprawniony do jego zmiany. Art. 15 ustawy z 8.10.82 r. o zw. zawodowych, mimo dokonania tak zwanej małej nowelizacji obowiązuje, w dalszym ciągu. Zgodnie z nim działanie, NSZZ „Solidarność” w SMW jest bezprawne.

— Dlaczego nie stosuje się pan do porozumienia Kiszczak-Wałęsa na zakończenie rozmów „okrągłego stołu” w sprawie SWM, gwarantującego „Solidarności” swobodne działanie w zakła-

dzie do czasu referendum bądź innych rozwiązań prawnych?

— Porozumienie, o którym pan mówi, winno znaleźć swoje odbicie w dokonanej już „małej nowelizacji” ustawy o zw. zawodowych. Dotychczas nie miałem dostępu do żadnych oficjalnych dokumentów pozwalających na stwierdzenie faktu zawarcia takiego porozumienia. Nie mogę się zatem stosować do przepisów, które nie istnieją formalnie.

— Czy potwierdza pan, że pański syn jest wicedyrektorem spółki kooperującej ze Stoczną Marynarki Wojennej?

— Pytanie to odbiega od tematu. Usiłuje pan sugerować wykorzystywanie przeze mnie stanowiska służbowego do celów prywatnych. Mimo to informuję, że mój syn jest wicedyrektorem spółki „Eldex” w Gdańsku — co nie jest chyba dla mnie hańbą. Stwierdzam, że spółka ta nie kooperuje ze Stoczną Marynarki Wojennej.

— Czy prawdą jest, że w przetargu na samochody, który rozpisła Stocznia, odsprzedał je pan synowi, zanim przyjechali zainteresowani z kraju?

— Pytanie w tym samym stylu, co poprzednie. Z pięciu samochodów zgłoszonych do przetargu przez Stocznia Marynarki Wojennej, w oparciu o zastrzeżenie w ogłoszeniu prasowym, wycofano z przetargu i sprzedano: dwa samochody ciężarowe marki jelicz — Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej „Radunia” w Somoninie; jedną sanitarkę marki fiat — Lidze Morskiej w Gdyni. Z tego wynika, że kolejna insynuacja zawarta w pańskim pytaniu jest nieprawdziwa.

— Dlaczego nakazał pan zdzieranie

plakatów wyborczych „Solidarności”, a więc dopuścił się przestępstwa przeciw wyborom?

— Kategorycznie zaprzeczam, że wydałem nakaz zdzierania plakatów wyborczych „Solidarności”. Przeciwnie, na odprawie kadry kierowniczej SMW wyraźnie zabroniłem zdzierania jakichkolwiek plakatów wyborczych oraz poleciłem doprowadzić to polecenie do wiadomości całej załogi SMW. W rezultacie w całym okresie przedwyborczym Stocznia Marynarki Wojennej była wręcz cała obwieszona plakatami „Solidarności”.

— Czy potwierdza pan słabą kondycję finansową zakładu i czy pan wie, że do innych firm zgłaszają się dłużej pracownicy (dobrzy fachowcy) z SMW, bo nie wytrzymali tu warunków finansowych?

— Nie potwierdzam takiej oceny aktualnej kondycji finansowej zakładu. Parametry ekonomiczne potwierdzające ten fakt, ze względu na tajemnicę służbową, nie mogą być ujawnione. Natomiast fluktuacja pracowników jest faktycznie duża, ale nie odbiega w zasadniczy sposób od ogólnej sytuacji w przemyśle stoczniowym.

— Czy to prawda, że w związku z przetargiem na samochody, ZZ Pracowników Wojska w SMW wniosł o odwołanie pana z funkcji dyrektora naczelnego do Zarządu Głównego WPRP?

— Teraz powrócił pan do metody osobistych pomówień. Odpowiadam: nic mi na ten temat nie wiadomo.

Rozmawiał
Jacek Kurski

ORP „Solidarność”

dokończenie ze str. 3

ności”, powołując się na artykuł 14 ustawy z 8 października 1982 roku o związkach zawodowych, w myśl którego pracownicy zatrudnieni w przedsiębiorstwach podległych MON mają prawo zrzeszać się tylko w związku wskazanym przez pracodawcę. Logika, według której ludzie dla obrony przed pracodawcą mają się skupiać w związku wskazanym przez tegoż pracodawcę, jest logiką stanu wojennego — dość kuriozalną nawet w skali 70 lat od czasu, gdy Lenin łapczywie spoglądał na Pałac Zimowy.

Dlaczego dyr. Dwórnik *et consortes* tak boją się „Solidarności”? To dość proste. Stosunki pracownicze w Stoczni są pod psem. Popiera się pełną dyspozycyjność, brak zdania, lizusostwo i postawy niewolnicze. Nie ma poszanowania dobrej pracy. Fachowiec jest śmieciem. Między innymi dobre zarobki „dąbrowszczaków”, związane ze statusem wojskowym. Pod względem uposażeń Stocznia plasuje się po „Północnej”, „Nauce” i „Remontówce”. Stąd znaczna rotacja pracowników. W stoczni panoszą się spółki „kooperujące” z zakładem, kierowane przez ludzi dyrekcyj (syn dyrektora Dwórnik jest zastępcą szefa jednej z nich). Gdy rozpisano przetarg na samochody będące własnością SMW i przyjechało 30 zainteresowanych osób z kraju — pojadły były już sprzedane „poręczniejszym” kontrahentom, za co nawet lojalny ZZPW wniósł o odwołanie do dyrektora. Wojskowy status zakładu ułatwia tuszowanie takich sytuacji. Dlatego, być może, na widok „Solidarności” kierownictwo zakładu dostaje drgawek.

9 maja w Stoczni zerwane zostały plakaty wyborcze opozycji. Wobec inicjatywy spotkania przedwyborczego z kandydatami do Sejmu i Senatu z ramienia Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, dyrektura dwukrotnie odmówiła udostępnienia świetlicy, argumentując to koniecznością... „odpolitycznienia zakładów pracy”. Interweniował sztab wyborczy „Solidarności” w Gdyni i 20 maja doszło w końcu do spotkania z Krzysztofem Dowgiałłą i Czesławem Nowakiem, ale pod gołym niebem, przy bramie głównej.

Koślawe referendum

Sytuacja „Solidarności” w Stoczni Marynarki Wojennej jest także skutkiem niejasnego załatwienia sprawy przy „okrągłym stole”. Podczas gdy w stoczni trwały przepychanki „Solidarności” z dyrekturą, problem statusu związku w stoczni na Oksywiu nasi negocjatorzy podejmowali kilkakrotnie, zawsze natrafiając na zdecydowany opór władzy. W rezultacie Wałęsa i Kiszczak podjęli niepisane *gentlemen's agreement*:

1. załoga będzie miała możliwość wypowiedzenia się w referendum o przejściu do resortu cywilnego (wtedy problem przestałby istnieć);
2. Sejm nowej kadencji znieśnie art. 15 ustawy o związkach zawodowych;
3. „Solidarność” w Stoczni MW nie będzie napotykać na przeszkody w swej działalności i będzie mogła działać tak, jak w przedsiębiorstwach cywilnych do czasu wspomnianego referendum.

Jak należało oczekiwać (ustne porozumienie z komunistami, którzy całe lata nie respektowali pisemnych!) — naczelny Dwórnik dwa miesiące później nic nie wiedział o żadnych ustaleniach, choć obiecał, że zwróci się do gen. Siwickiego z prośbą o... „spotkanie z gen. Kiszczakiem w celu potwierdzenia ustaleń jak wyżej”.

Paradoks polega na tym, że projekt referendum wysunięty został przez ludzi nie rozumiejących sytuacji. Referendum jest bowiem nie na ręce zarówno dyrektorom, którzy — gdyby stocznia przeszła do „cywila” — jako wojskowi musieliby odejść, jak „Solidarności”, która uważa, że ma prawo istnieć niezależnie od nazwy resortu. Stoczniovcy z „marwoju” czują się i są po prostu stoczniovcami, a nie pracownikami wojska! Nie interesuje ich

to, że odbiorcą remontów i drobnej produkcji jest resort MON. Zawsze uczestniczyli w przełomach historii — strajkowali w 1956 roku, po którym w Stoczni powstała prężna Rada Robotnicza; protestowali w Grudniu 1970 (jedna ofiara śmiertelna i wielu rannych)... Dlatego zapowiadają, że jeśli nadal będą traktowani „w kategoriach gorszych Polaków”, to w narzuconym referendum wezwą do głosowania przeciw pozostaniu w resorcie.

Poza tym zmiana profilu produkcji (a tak przejście „do cywila” rozumie gen. Kiszczak) w warunkach kryzysu spowodowałaby stocznia na krawędzi bankructwa. Chodzi więc również o dalszy los zakładu. Jeśli już referendum, to — według działaczy „S” — pod hasłem: „Czy chcesz „Solidarności” w SMW?”

Gdy skończył się „okrągły stół”, ludzie poczuli rozgoryczenie, że ich spraw nie załatwiono. Działacze komitetu pojechali z teczką dokumentów do Wałęsy. Ten był mocno zakłopotany:

— No bo jak? Gdy Związek w kraju rozwija się tak kiepsko, zostawić samemu sobie tysiąc osób ze stoczni, w której „Solidarność” w trudnych warunkach przetrwała tyle lat? To sprawa prestiżowa...

Jeszcze w dniu legalizacji Związku. 17 kwietnia, stoczniovcy przyszli do działaczy z pretensją: dlaczego dyrektor nie daje biura itd.? Kolejne pismo do dyrektora o zgodę na wiec. Kolejna odmowa. Kolejny „nielegalny” wiec na hali kadłubowej (wszystko, co ważne, dzieje się tam). Transparenty, nagłośnienie, śpiewy i modlitwa... Liderzy zakładowej „Solidarności” zapytali zebranych, czy upoważniają ich do dalszej walki o legalizację. Dostali burzliwe oklaski. A potem, jak zwykle, posypały się nagany i upomnienia.

Warunek konieczny

Mirosław Kamiński wierzy w fakty dokonane:

— Ten związek zostanie zaakceptowany. Komuniści są realistami i sami dojdą do wniosku, że lepiej nas zarejestrować. Mamy obecnie 950 członków wprawdzie trzeba za nimi chodzić, by płacili składki, ale to dziś normalne. Świeżo wybrana rada pracownicza nie widzi przeszkód w działaniu „Solidarności” w stoczni.

Podobnie doradca Lecha Wałęsy i sekretarz Krajowej Komisji Wykonawczej „S” Lech Kaczyński który był u dyrektora Dwórnik, by przestrzec go przed niestosowaniem się do ustnego porozumienia z gen. Kiszczakiem:

— Problem zostanie rozwiązany w ramach tak zwanej dużej nowelizacji ustawy o związkach zawodowych, prawdopodobnie przed końcem tego roku. Obecne napięcia są sztuczne, bo inne zakłady, w których „Solidarność” działa swobodnie, są w nie mniejszym stopniu zakładami produkcji wojskowej np. Stocznia Północna. [Zresztą dla zakamufłowania budżetu MON spora część zakładów produkujących dla wojska nie podlega bezpośrednio resortowi — J. K.]. W latach 1980-81 ze Stoczni Marynarki Wojennej nie wydostały się żadne tajemnice wojskowe. Jak dotąd, jest to zresztą jedyny zakład tej branży, w którym wystąpił problem odtworzenia Związku. Gdzie indziej „Solidarność” po prostu nie ma.

Poczekamy, zobaczymy. Do końca roku coraz bliżej a czas w tak gorącym sezonie politycznym, biegnie coraz szybciej. Oby tylko w ferworze walki o wielkie sprawy znowu czegoś nie przegapiono. Ostabiona „Solidarność” nie może tracić takich ludzi, jak w SMW w Gdyni...

Jak na razie, komitet organizacyjny w Stoczni Marynarki Wojennej kończy każdy swój komunikat: Nadal aktualne! Nie ma wolności bez „Solidarności”!

Wiadomo, że warunek to niewystarczający, ale konieczny.

Jacek Kurski

Jest afera
czy jej nie ma?

Jak Polska długa i szeroka płyną protesty przeciwko zakładaniu tzw. spółek nomenklaturowych. „Stanowczo domagam się zaprzestania tworzenia spółek na dotychczasowych zasadach, tj. spółka plus nomenklatura. Jest to zaprzeczenie wszelkich zasad sprawiedliwości społecznej” — pisze w liście do „Gazety Wyborczej” robotnik Andrzej Chomicz. Nie jest to głos odosobniony.

Nie ulega wątpliwości, że zakładaniu spółek towarzyszy przede wszystkim myśl o własnym interesie udziałowców. Ale mówi się również, że są one sposobem na ratowanie gospodarki. Karkołomne przepisy płacowe i podatkowe sprawiły, że zawieranie umów ze spółkami zatrudniającymi pracowników własnego przedsiębiorstwa opłaca się i pracownikom, i przedsiębiorstwu. Ci pierwsi mają bowiem możliwość dodatkowego, wysokiego zarobku; temu drugiemu bardziej kalkuluje się wynająć spółkę, niż obciążać swój rachunek wysokimi kosztami obrotowymi, odpisami na ZUS i ogromnymi podatkami, choćby z tytułu ponadnormatywnego funduszu plac. Żaden chyba inny temat (poza, rzecz jasna, cenami) nie budzi dziś tylu kontrowersji, co właśnie spółki, a wyjaśnienie celowości ich powoływania oraz zasad funkcjonowania znajduje się wśród postulatów prawie wszystkich komitetów strajkowych.

— A więc o co chodzi? — z tym pytaniem zjawiałem się w Komisji Zakładowej „S” w Porcie Gdańskim. Moi rozmówcy: członek prezydium portowej „S” poseł Czesław Nowak, przewodniczący Rady Pracowniczej Tadeusz Bork oraz wiceprzewodniczący „S” Ireneusz Leszka, nie kryli swego zdenerwowania. Dotychczas traktowano spółki na terenie portu jako zło konieczne. Wobec niskich płac, które powodowały odpływ kadr, godzono się, by ludzkie „dorabiali” na innych zmianach w spółkach. Trudno tę sytuację uznać jednak za prawidłową. Moi rozmówcy określili spółki jako „zrąkowacią tkankę na chorem organizmie gospodarki”. Z jednej strony są one skutecznym sposobem na omijanie barier podatkowych; z drugiej — czynnikami napędzającym inflację. Spółki w znacznej większości nie są organizmami nastawionymi na rozwój. Cały lub prawie cały swój zysk przeznaczają na wypłaty. Nie mają tendencji do inwestowania, usamodzielniania się, albowiem wygodniej jest korzystać z cudzych maszyn i urządzeń, nie obciążać sobie głowy (i kieszeni) zakupami, remontami, odpisami amortyzacyjnymi itd.

Najbardziej drażliwa wydaje się kwestia osiągania wysokich zysków przez osoby kierujące spółkami. „Zadziwia łatwość, z jaką sztanदारowy komunistyczny kapitalista” — pisze autor wspomnianego listu do „GW”. Ludzi bulwersują bardzo wysokie zarobki uzyskiwane przy niewielkim nakładzie pracy, która w zdrowej gospodarce byłaby w ogóle zbędna. A ponadto śmiesznie niskie kapitały zakładowe spółek nie stanowią zabezpieczenia realizacji często wielomilionowych umów. Wręcz przeciwnie — mogą skłaniać do świadomego, wykalulowanego ogłaszania upadłości ze szkodą dla kontrahenta. Nikt nie sprawdza u nas w rejestrze sądowym wysokości kapitału zakładowego przy podpisywaniu umowy; za gwarancję wystarcza zazwyczaj osoba dyrektora czy kierownika spółki. Od lat funkcjonują te same reguły. Interes porusza się po starych, „kumplewskich” ścieżkach, pełnych poklepywania po ramieniu i wzajemnych usług.

W Porcie, i pewnie nie tylko tu, szkokuje sytuacja, gdy spółka o kapitale zakładowym rzędu kilkudziesięciu tysięcy złotych korzysta ze sprzętu i urządzeń wielomilionowej

wartości. Dotychczas, na szczęście, nie zdarzył się przypadek uszkodzenia urządzeń przeładunkowych, występowały natomiast uszkodzenia przeładowywanych towarów i pomocniczego sprzętu zmechanizowanego. Zdaniem portowej Komisji Zakładowej straty te są kamuflowane, a następnie obciąża się nimi zmiany obsługiwane przez etatowych pracowników Portu. Urządzenia, zwłaszcza dźwigi, są eksploatowane przez różnych operatorów. Ci „spółkowi” nie odpowiadają za ich konserwację czy remonty, a i ich umiejętności budzą sporo wątpliwości. Podobne sprawy związane z działalnością spółek były bacznie obserwowane przez nową Radę Pracowniczą i „Solidarność”.

Prawdziwa „bomba” wybuchł jednak dopiero pod koniec maja br. Wojciech Wysocki i Stanisław Laskowski to wicedyrektorzy Portu Gdańskiego (ex dyrektorzy, ale o tym za chwilę), a Danuta Szmida-Przewięda to małżonka (aktualna lub była — tu zdania są podzielone) dyrektora naczelnego Wojciecha Przewiędy. Trójka ta w końcu maja zarejestrowała spółkę „Baltex”, której program pokrywa się z grubsza z działalnością Portu. Czy owa spółka chce konkurować z Portem? Bynajmniej! Jej udziałowcy, mając w kieszeni niecałe 100 tysięcy złotych kapitału zakładowego, chcą na początek przejąć jedną z najbardziej dochodowych form działalności Portu, a mianowicie pilotaż. Zaczęto od tego, że obaj dyrektorzy zostali zwolnieni z PMH i przeszli do „Baltexu” za porozumieniem stron. To samo dotyczy pilotów. Utworzenie spółki z udziałem pilotów, zatrudnionych dotychczas w Wydziale Usług Żeglugowych Portu Gdańskiego, odbyło się bez poinformowania o tym fakcie kierownika tegoż wydziału oraz zastępcy dyrektora Portu do spraw eksploatacyjnych. Nie uzgodniono tego również z Radą Pracowniczą, co już jest ewidentnym złamaniem obowiązujących przepisów. Istnieje więc pogląd, że całą akcję zorganizowano półjawnie, poza plecami tych, którzy mogliby oponować, za pełną natomiast zgodą i błogostwieniem dyrektora naczelnego.

Próbę odebrania Portowi wysoce dochodowego pilotażu, a co za tym idzie — ustawienie go w roli petenta „Baltexu”, Rada Pracownicza oceniła jako działanie na szkodę przedsiębiorstwa. Domaga się zatem dyscyplinarnego zwolnienia obu wicedyrektorów (a nie eleganckiego „za porozumieniem stron”) oraz zawieszenia w czynnościach służbowych dyrektora Przewiędy. Wysłała w tej sprawie telex do ministra transportu, żeglugi i łączności. W odpowiedzi minister Kamiński zapewnił samorząd, że „... podniesione problemy zostaną wnikliwie zbadane w ramach podjętego postępowania wyjaśniającego”.

Oczekiwanie na resortową komisję i zapowiedziane „wnikliwe badanie” — trwało trzy tygodnie. Dopiero 26 lipca zjawiała się ona w Gdańsku i przystąpiła do pracy. Zakończyła ją 2 sierpnia i... wróciła do Warszawy, zachowując w głębokiej tajemnicy wyniki dochodzenia. Do dziś Rada Pracownicza i Komisja Zakładowa „S” nie otrzymały żadnej oficjalnej informacji na ten temat.

Interesowało mnie, jak celowość i sposób powołania do życia „Baltexu” ocenia sam dyrektor W. Przewięda? Niestety, najpierw przebywał na wczasach, potem nie miał dla mnie czasu (tak przynajmniej twierdziła sekretarka), a wreszcie poinformował załogę, że z dniem 1 września odchodzi z Portu. Tak więc do rozmowy nie doszło. Nie zdołałem też (do 16 sierpnia) dowiedzieć się, jakie przyczyny spowodowały dymisję (rezygnację?) dyrektora i jaki ostatecznie będzie los spółki? Resort z wyjaśnieniami

nie śpieszy się. Ma czas? Na tle powszechnego sprzeciwu załogi i samorządu zaskakuje (a może właśnie nie zaskakuje?) stanowisko Komitetu Zakładowego PZPR, który w piśmie do ministra stwierdza m.in.: „... Uważamy, że sprawa dyrektora Przewiędy jest początkiem zorganizowanej akcji Rady Pracowniczej, której celem jest wyeliminowanie z Portu Gdańskiego tych członków kierownictwa, którzy w przeszłości zajmowali zdecydowaną postawę w sytuacjach krytycznych i konfliktowych”. Można się jedynie domyslać, że owa „zdecydowana postawa” odnosi się do wyrzucenia z pracy 308 portowców — uczestników strajku w sierpniu 1988 r.

Protest przeciwko uwłaszczaniu nomenklatury rodzi pytanie o inne formy reorganizacji Portu. Bo że taka



Fot. Maciej Kostun

jest konieczna — nikt nie ma wątpliwości. Dotychczasowa regulacja prawna zezwalająca przedsiębiorstwu państwowemu na przekazywanie swego majątku w użytkowanie podmiotom nie społecznym — budzi szereg wątpliwości, także moralnych. Jak np. przyjęliby parcelację portu, czy to w formie sprzedaży, czy wydzierżawienia prywatnym spółkom, starzy pracownicy, którzy podnosili nabrzeża z gruzów i przez kilkadziesiąt lat ciężko na nich pracowali?

Jakie jest zatem wyjście? W opinii moich rozmówców jako jedyne powszechnie akceptowane rozwiązanie jawi się akcjonariat pracowniczy. Taka zmiana statusu przedsiębiorstwa nie tylko uwłaszcza firmę „niczyją”, ale również zmienia stosunek załogi do wspólnego majątku, do dyscypliny pracy — i to dużo efektywniej niż wszelkie premie z motywacyjnymi na czele. Oczywiście, należy mieć przy tym świadomość, że akcjonariat obejmujący wszystkich pracowników przedsiębiorstwa nie będzie możliwy.

Istnieje również idea własności komunalnej, czyli większego powiązania portu z miastem. Te dwa organizmy mogą nawzajem wzmacniać się i uzupełniać. Są tego liczne pozytywne przykłady w świecie. Do takiego statusu zmierzał Eugeniusz Kwiatkowski, kiedy po wojnie pracował nad stworzeniem Związku Miast Portowych. Mówi też o tym Gdańska Inicjatywa Gospodarcza. Tak czy inaczej, Port nie może być rozdrapany przez nomenklaturowe spółki. Tego jednego załoga jest zupełnie pewna.

Adam Derewicz

KOTLET

Andrzej W. Małachowski pisze w „Przeglądzie Tygodniowym” (nr 33): „Tak się jednak złożyło, że w czasie głosowania zawieruszyło się w restauracji sejmowej blisko 15 posłów opozycyjnych, pomagając tym samym kandydatowi na premiera”. Jeśli Małachowski pisze o głosowaniu kandydatury gen. Kiszczaka w Sejmie, co jasno nie wynika z jego tekstu, myli się. Nieobecność kilku posłów nie miała większego znaczenia, gdyż gen. Kiszczak dostał 237 głosów, co przy Sejmie 460-osobowym stanowi więcej niż 50 proc., i liczba głosów przeciwnych, wstrzymujących się bądź nieważnych przestaje się liczyć.

Pozostaje jednak problem kotleta w sejmowej restauracji. Jacek Maziarz przybliży nam te sprawy w tygodniku „Ład” (nr 33): „W dobie głośności nie się nie ukryje. Ledwie zebrał się nowy parlament, a już wścibscy reporterzy wtargnęli do najpilniej strzeżonego pomieszczenia Sejmu, czyli restauracji, w której żywią się posłowie. Reporterka »Prawa i Życia« wynotowała z karty dań: befsztyk z polędwicy, ziemniaki młode, mizeria — 601 zł. Dziennikarz »Odrodzenia« był dokładniejszy: stek wieprzowy — 519. —, pieczeń wołowa — 604. —, befsztyk — 868. Najbardziej zdziwiła mnie cena herbaty: 22 złote!”

Maziarz pisze dalej: „Byłoby rzeczą żalosną, gdyby właśnie ci posłowie i senatorowie, którzy jeszcze pół roku temu stali wraz z resztą społeczeństwa w ogonkach, zarobili sobie na zaimek »oni«”.

Sam się zdziwiłem, ale „sejmowy kotlet” pojawił się w tym tygodniu w jeszcze jednym tekście. „Tygodnik Powszechny” (nr 33) publikuje rozmowę z Henrykiem Wujcem, posłem i sekretarzem OKP. Wujec mówi: „człowiek bardzo łatwo przyzwyczaja się do wygod. Obecnie jako poseł korzystam z darmowych przejazdów wszelkimi środkami komunikacji i bardzo mi się to podoba, bo ja nigdy nie miałem za dużo pieniędzy, a przejazdy kosztują. Więc odczuwam taką sytuację jako pozytywną. Idę do restauracji sejmowej i bez kolejki zjadam obiad za 1200-1300 złotych, co jest niemożliwe na mieście. A tymczasem ludzie z zewnątrz nie mogą wejść do tej restauracji bez przepustki lub zaproszenia. Więc znów człowiek odczuwa to jako sytuację wygodną. Siedzę tak za tymi biurkami, żyjesz w świecie tworzonym przez prasę — co powiedział premier, co ripostowała opozycja. No i świat na zewnątrz powoli przestaje istnieć, traci się kontakt. Ja sam czuję, że go tracę, choć sądzę, że jestem dość przytomny, aby go jednak nie stracić. To jest proste, ale realne niebezpieczeństwo”.

Chwalebna jest ta świadomość niebezpieczeństwa, jakie wyniknąć może z oderwania się od życia. Ale przypomnieć trzeba, że publikowane notowania cen żywności po ostatnich podwyżkach w żadnej mierze nie przystają do rządowych obietnic, które znów okazały się wzięte z sufitu. Deklarowane przez przedstawicieli rządu ceny mięsa oscylowały miały w granicach 80 proc. poprzednich cen wolnorynkowych. Tymczasem już po dwóch tygodniach są dużo wyższe. Jako pociąg nasuwa się stary dowcip. Co to jest koniak? Jest to napój alkoholowy, który klasa robotnicza pije ustami swoich przedstawicieli. Czyżby przysłała pora na kotlet?

Cytator



Po prostu skandal

Nie spałam całą noc, tak mnie wzburzyła ta lektura. Bezwstyd autorów obciążających stoczniovców za śmierć kolegów zabitych w Gdyni podsunął mi nawet myśl podania ich do sądu. — Nie wygrasz — odpowiedział rozsądek; z bibliografii wynika, że opracowanie opiera się na materiałach z archiwum KW PZPR, wykreca się. Co robić? Teraz, gdy podobno odkłamuje się historię, młodzież ma czerpać wiedzę o Grudniu z tak zakłamanej lektury? Zadbano przecież, by broszura ukazała się w olbrzymim nakładzie — starczy na całą Polskę...

Trzon publikacji „Grudzień 1970. Przebieg wydarzeń na Wybrzeżu Gdańskim” (21 stron na 29 całego tekstu) zajmuje „Kalendarium wydarzeń”, zawierające obszerne fragmenty żywem przepisane z „Obrazu wydarzeń” opublikowanego 28 grudnia 1970 w „Głosie Wybrzeża”. Publikacja „Głosu” wzbudziła wówczas takie oburzenie społeczne, że aby ostudzić nastroje, E. Gierk obiecał solennie (na spotkaniu z przedstawicielami załóg 26 stycznia 1971 w Gdańsku) ponowne, tym razem rzetelne opracowanie. Powołal w tym celu tzw. komisję Szydłaka — i sprawę odłożono *ad acta* (komisja nie opublikowała nigdy wyników swej pracy).

Spółczesność jednak nie zapomni. Pierwszym czynem „Solidarności” było wystawienie pomników ku czci zabitych, a gdański MKZ zobowiązał się zrealizować jeden z pierwszych postulatów strajkowych, jakim było żądanie wyświetlenia spraw Grudnia. Powołana została Sekcja Historyczna — wchodziłam w jej skład. Rząd zaś powołał konkurencyjną komisję pod przewodnictwem tow. Hieronima Kubiaka.

W celi więziennej („w okresie od 14.12.81 (...) kontynuowała prace zlecone jej przez Związek zbierania danych faktograficznych dot. wypadków grudniowych 1970 r.” — wyrok 5 lat) słuchałam zachwytów nad postępiem tej komisji i rzetelnością, z jaką podchodzi do tematu. Kiedy więc w październiku 1983 ukazało się „Sprawozdanie z prac komisji KCPZPR powołanej do wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej” jako dodatek do „Nowych Drog”, natychmiast po nie sięgnęłam. Otworzyłam na stronie mówiącej o Grudniu w Gdyni — do mnie należało opracowanie tego tematu — a pamiętając, że już na plenum w 1971 powiedziano samokrytycznie, że „Niektórych wypadków użycia broni, zwłaszcza w Gdyni, można było uniknąć”, spodziewałam się istotnych wyjaśnień. Niestety. Opis tragicznego czwartku jest w stosunku do pokazanego w „Obrazie wydarzeń” nieco stonowany, po staremu jednak za użycie broni obciąża się „agresywnie nastawiony tłum”.

Zgromadziłam zatem, co ocalało z pracy w Sekcji Historycznej i napisałam książkę „Grudzień 1970 w Gdyni”, którą wydało Archiwum „Solidarności” (przekręcając moje nazwisko na: Kwaśniewska). Książka wyszła w nakładzie 2500 egzemplarzy — sporym jak na podziemie, ale o znikomym zasięgu. Kiedy więc przed autorami podziemia „otwarły się podwoje” wydawnictw oficjalnych — przekazałam ją Wydawnictwu Morskiemu z propozycją druku. Odrzucono ją, ponieważ przygotowywaną do druku publikację na ten temat zgłosił pan Zieniewski. I jest to właśnie ta broszura.

Z bólem, do dziś burzącym ludzi tematem poradzi sobie autorzy raz, dwa. Wyciągnęli „Głos Wybrzeża”,

przepisali „Obraz”, tu i ówdzie uzupełnili, tu i ówdzie skreślili, tytuł zmienili na „Kalendarium” — i wydrukowali, wyrażając na wstępie gorące podziękowanie poprzedniej redakcji, „honorując pierwszeństwo i zasługi dziennika, wyniki naszych badań publikujemy pod patronatem »Głosu Wybrzeża« i Gdańskiego Wydawnictwa Prasowego. Wdzięczni i usatysfakcjonowani”. „Wdzięczni” za wydrukowanie w 300 tysiącach — rozumieć. Ale „usatysfakcjonowani”? Czy tym, że po dziewiętnastu latach mogą bezkarnie powtarzać te same, obelżywe dla grudniowego protestu brednie?

Oto np. jak wyglądał — według autorów broszury — czwartek 17 grudnia: Robotnicy przyjechali na przystanek Gdynia-Stocznia, ale mimo iż od 5.15 nadawano przez gigantofon wojskowy apele o zamknięciu stoczni, nie chcieli się rozejść. O 5.30 na peronach i torach zgromadziło się trzy tysiące osób, krzyczeli „zająć stocznnię!”, „rozbroić ich!” i rzucali kamieniami oraz śrubami od podkładów kolejowych. Cóż miały w tych warunkach zrobić „siły porządkowe”? — musiały strzelać. Ale i to nie pomogło. Nawet zrzucane ze śmigłowców petardy i gazy łzawiące nie odstraszyły „rozjuszonych demonstrantów”. Po wielu zachodach sytuację udało się przy Gdyni-Stoczni opanować.

Tak samo było przy PMRN, Wzgórz Nowotki, Hotelu „Bałtyk” i sądzie. Ludzie po prostu dostali szału, miotali się po mieście, atakowali wojsko, próbowali rozbrajać milicjantów. „Rozwścieczony tłum” formował też jakieś pochody, nie wiadomo dlaczego idące w kierunku otoczonego czołgami i pancernymi wozami Prezydium, i „z furją nacierał na żołnierzy”. Z tekstu wynika, że w spokojnej Gdyni wybuchła rewolucja spowodowana samym widokiem stojących w szyku bojowym milicji i wojska. Nie ma żadnego związku przyczynowego między demonstracją 15 grudnia, aresztowaniem komitetu strajkowego, zwabieniem ludzi w pułapkę, jaką było zablokowanie zejścia z pomostu — a śmiertelnymi ofiarami. Autorzy nie zauważyli tego, co dziś jeszcze, mimo przedłużenia peronów, poszerzenia pomostu i zlikwidowania betonowych plotów jest widoczne — że jeśli zablokuje się zejście ze schodów, powstaje pułapka. Wystarczyło, by ludzie wysypali się z jednej tylko kolejki, aby utworzył się depreczący sobie po piętach tłum, a napchane spieszącymi do pracy ludźmi pociągi przyjeżdżały średnio co 3 minuty (co 6 z Gdańska i co 6 z Wejherowa). Pod naporem idących z tyłu stoczniovców wchodził na schody, pomost — i nie mieli już możliwości ucieczki. Nie miała już wtedy możliwości ucieczki także milicja. Ale miała karabiny maszynowe. Tak ma wyglądać blokada oddalonej o dwa kilometry stoczni?

Od „Obrazu wydarzeń” różni „Kalendarium” zasadniczo opis wtorku. W „Obrazie” nie ma go wcale — tu natomiast jest, i to opisany dość dokładnie. Zamieszczono nawet postulat wysunięty na spotkaniu w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, omijając jednak te dopisanie ręcznie przez Hulsza. Rozumiem, że autorzy nie mieli oryginału, bo mam go ja, istnieje jednakże tak wiele kserokopii, że nie uwierzę, aby nie posiadało ich archiwum KW, skąd by zresztą się wziął „Protokół uzgodnień”?

Tytuł tego dokumentu brzmi: „Protokół porozumiewawczy pomiędzy delegacją siedmioosobową zakła-

dów pracy Stoczni Komuny Paryskiej, Stoczni Remontowej, Zarządu Portu i Dalmoru a przedstawicielami Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gdyni spisany w dniu 15 grudnia 1970 r. w Prezydium MRN w Gdyni” — a nie jak chcą autorzy „Protokół uzgodnień”. Rozumiem naturalnie intencję fałszerstwa — żadnego porozumienia nie podpisano, zrozpaczeni ludzie niosący zabitego do Prezydium po prostu postępowali bezmyślnie. Mimo to opis 15 grudnia tylko „ideologicznie” odbiega od mojego i sądzę nieskromnie, że to moje opracowanie przetarło wtorkowi drogę do partyjnej publikacji. Dlaczego zatem nie stało się tak z czwartkiem? Bo czwartku „ideologicznie” opisać się nie da.

Nie można też wytłumaczyć bestialskiego znęcania się nad ludźmi w PMRN — więc go nie było.

„Wszystkie materiały, dane i kalendaria zostały, włącznie z dokumentami i pracami opublikowanymi po 1980 roku przez NSZZ „Solidarność” oraz poza granicami kraju, skonfrontowane i zweryfikowane” — chwala się autorzy. Wszystkie? Wolne żarty, panowie. Nie zauważyliście mojej książki — dobra. Ale najsolidniejszej dotąd publikacji „Grudzień 1970” wydanej przez paryskie „Spotkania” także nie? A znaleźlibyście w niej choćby przykład W. Kasprzyckiego, 17-letniego chłopaka tak skatowanego w Prezydium, że stwierdzono u niego 80 proc. utraty zdrowia. Ale wtedy o katowni, w jaką zamieniono Prezydium, wypadłoby napisać.

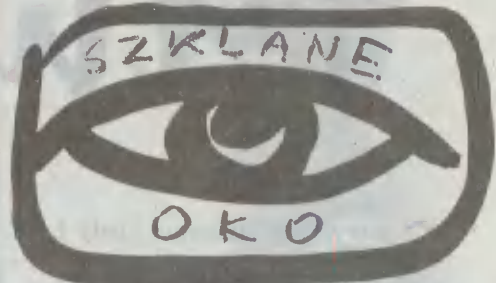
Dosyć. Polemizowanie z cynicznym kłamstwem nie ma dłużej sensu. Nie dziwi mnie już nawet, że dwaj autorzy broszury są wysoko postawionymi naukowcami UG — są to specjaliści od politologii.

Razem „wdzięcznych i usatysfakcjonowanych” jest siedmiu: K. Buchole, T. Górski, E. Jarecki, H. Kula, K. Podoski i A. W. Sobociński oraz dyrektor Gdańskiego Wydawnictwa Prasowego W. Zieniewski. Opracowali tekst na podstawie materiałów z archiwum KW PZPR (do którego, mimo ustnych próśb i pisemnych podań, Sekcja Historycznej NSZZ „S” nie pozwolono nawet zajrzeć) oraz wymownie dobranych źródeł drukowanych: przemówień Gierka (8), Jaroszewicza (6), Kepy, Moczara, Olszowskiego itd. Aby oddać oskarżenie o stronniczość — w bibliografii obok elaboratu Zdzisława Grudnia „O niektórych problemach praktyki partyjnego kierownictwa” widnieje nota o artykule z „Kultury” paryskiej (liczącym w sumie 3 str.).

Tysiące uczestników wydarzeń grudniowych żyją i mieszkają w Trójmieście. Relacje wielu z nich zostały spisane, nagrane, opublikowane. Autorzy broszury zignorowali je, nie sięgnęli do żadnego. Tendencyjnie dobrane zostały również zdjęcia Z. Kosycarza, J. Uklejewskiego, J. Folwarcznego, którzy przy okazji przywłaszczyli sobie autorstwo jednego w tym opracowaniu przejmującego dokumentu, jakim jest fotografia niesionego na drzwiach zabitego chłopca — zdjęcie E. Peplińskiego.

Broszura powielona została w 300 tys. egzemplarzy. Za 29 stron gazetowego papieru każe się ludziom, znęconym tytułem publikacji, płacić 500 zł. Jest więc to nikczemność podwójna: po pierwsze na masową skalę kolportuje się kłamstwo historyczne; po drugie — wyludza za nie pieniądze.

Wiesława Kwiatkowska



Czas, w którym częste zasiadanie przed telewizorem groziło naba-wieniem się nerwicy, na szczęście już mija. Obecnie, kiedy przypatrujemy się osobom, sprawom naprawdę ciekawym, nerwy nam się uspokajają i odkrywamy, że telewizja — jako środek informacji i porozumienia między ludźmi — wcale nie jest takim złym wynalazkiem. Stało się to przede wszystkim za przyczyną transmisji z Sejmu i Senatu.

Na naszych oczach epoka propagandowego kreowania fałszywej rzeczywistości powoli odchodzi w niebyt, mimo niekiedy heroicznego wysiłku podejmowanych w imię jej zatrzymania.

W istniejącej płynnej sytuacji występujące dotychczas telewizyjne „osobowości” radzą sobie w różny sposób. Przykładowo red. Karol Szyn-dzielnor mówi w swoim cotygodniowym komentarzu o strajkach Rosjan w Estonii, w związku z wprowadzeniem przez jej władze ograniczeń w prawach wyborczych dla ludności napływowej. Tę świeczkę prawdy dla Pana Boga uzupełnia jednak ogarkiem dla diabła, wspominając o „niesłychanych” wymaganiach stawianych rosyjskim mieszkańcom tej republiki. Zgodnie z nowym ustawodawstwem muszą oni bowiem nauczyć się... trudnego języka estońskiego. Redaktor K. Szyn-dzielnor zapomnił jednak uzupełnić, że Rosjanie mają na to dwa lata, a skoro zdecydowali się opuścić swoją ojczyznę i zamieszkać na stałe w kraju o wyższym poziomie życia, powinni uczynić to, co robią wszyscy emigranci na świecie. Zwłaszcza, że Estończycy poddani są obowiązkom uczenia się języka rosyjskiego.

W jednym z nielicznych wypadków przysiadamy się do telewizora jak do beczki miodu. Następuje to podczas emitowania starych kronik Polskiej Agencji Telegraficznej. Jesteśmy wdzięczni Towarzystwu Ubezpieczeniowemu „Vesta”, że sponsoruje ten program, byłbyśmy też bez zastrzeżeń wdzięczni red. Joannie Skoczylas, że z taką wytrwałością nad nim pracuje. Dlaczego jednak z zastrzeżeniami?

Chodzi o małą tyżeczkę dziecicu, jaka pojawiła się w tym mieście. Red. J. Skoczylas zapowiadała właśnie kronikę poświęconą królowi Janowi III Sobieskiemu, kiedy nieoczekiwanie serca widzów znowu mogły stanąć dęba. Mówią o związanym z osobą króla zamkach w Olecku i Podhorcach, pani redaktor zechciała dać nam do zrozumienia, że obecnie nie znajdują się one w granicach Polski, jak to miało miejsce w... międzywojniu (!), w najlepszym przypadku powtarzając bezwiednie to co raz częściej spotykane sformułowanie.

Przez ponad 40 lat, przy pełnej jeszcze sprawności propagandowego systemu, zamiast II Rzeczypospolite mówiliśmy — „okres międzywojenny”. Obecnie, kiedy sytuacja wydaje się powoli zmieniać na lepsze, posunięto się o krok dalej. Po naszych rodakach urodzonych w Wilnie i we Lwowie, którzy — jak wynika z ich dokumentów — przyszl na świat nie w Polsce, a w ZSRR, również ich pozostali rówieśnicy dowiadują się, że nie urodzili się w II Rzeczypospolitej, ale w niewartym dokładniejszego określenia „międzywojniu”. Cóż to więc były za lata? Nieistotna przerwa w działaniach wojennych, bez znaczenia dla historii narodu? I wreszcie jak na tym tle wyglądają aspiracje niektórych współczesnych do szykującej się nam IV Rzeczypospolitej? Skoro nadal tak konsekwentnie wymazywać się będzie II-gą, dlaczego ktokolwiek miałby uznać PRL za III-cią?

A.B.

Polubić telewizję...

Henryka Dobosz

Cztery, pięć lat temu, kiedy Lech Wałęsa i Andrzej Gwiazda, wypowiadając się o sobie nawzajem, używali jeszcze sformułowań kurtuazyjnych, Wałęsa powiedział, że u Gwiazdy to go najbardziej zadziwiło, że nie miał telewizora. — Ciekawy gość, byłem u niego w domu, w telewizji siedział właśnie jakiś ważny mecz, poprosiłem, żeby włączył. Okazało się, że Gwiazda miał tylko atrapę, samo pudło. Wyjaśnił, że dlatego je trzyma na widocznym miejscu, żeby goście nie zadawali mu ciągle tego samego pytania: dlaczego nie ma telewizora. Taki oryginał — śmiał się Lech z uznaniem, choć on sam bez telewizji nie mógłby się obejść. Przeciwnie, ogląda I i II program naraz, plus jeszcze radio z kilku odbiorników, tu Warszawa, tam Wolna Europa, i wszystko słyszy, we wszystkim się orientuje, przyswaja wybiórczo to, co istotne z każdego źródła.

Pomyślałam, że w tym przypadku mam więcej wspólnego z Gwiazdą. Nie lubię telewizji, w zasadzie w żadnej postaci, teatr wolę w teatrze, film w kinie, mszę w kościele, nie mówiąc o polityce, za którą nie przepadam w ogóle. Tymczasem w telewizji to jest zadziwiające, że czego dotknę, zamienia w politykę, jak król Midas w złoto. — Wyłącz to pudło! — oto moja dewiza, można powiedzieć obsesja, gdy tymczasem mąż, nawiasem mówiąc, byłby dziennikarz telewizyjny, co chwilę włącza, bo lubi.

Stan wojenny

Adam kupił specjalną szafkę i zamknął telewizor na klucz. Otwiera tylko dziecku na dobranocę. Podejrzewam jednak, że w tajemnicy przede mną czasem coś ogląda, bo mowa: cholerna wyżymaczka mózgu, miałaś rację, całkiem człowieka dezintegruje, nie wiem, jak mogłem w tym pracować przez pięć lat. Gdy przychodzi Włodek Resiak, były operator TV, razem się denerwują bądź wspominają dawne czasy.

Włodek „padł” podczas weryfikacji, za współudział w realizacji filmów o „Solidarności”. Adama internowano w Strzebielinku. Marian Terlecki ukrywał się, potem siedział w więzieniu za „kradzież” sprzętu (ten sprzęt należał do Związku i Marian usiłował go ocalić). Alicja Hołdun i Leszek Kujawski, zaangażowani w telewizyjną „Solidarność”, okazali się również niebezpieczni dla propagandowej twierdzy władzy, znaleźli się za bramą. Jerzy Afanasjew, reżyser teatralny, i jego żona Alina, doświadczony scenograf z długoletnim stażem telewizyjnym, stracili wszelkie możliwości wykonywania swoich zawodów. Wyrzucono jeszcze parę osób z techniki, kilku innym pogroźono palcem.

— A pamiętasz, Adaś, jak cię wywalili po raz pierwszy? — Włodek mimo wszystko nie może oderwać się od tematu.

Adam czuje się pochlebiany. W czasie Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdańsku, który przebiegał burzliwie, w ostrym konflikcie z władzą, Wajda prezentował „Człowieka z marmuru” i został ostentacyjnie pominięty w nagrodach. Próbowali to naprawić swoją nagrodą dziennikarzy. Adam wręczenie nagrody nakreślił. Gdy uroczystość jeszcze trwała, nie czekając na zakończenie, popędził do telewizji i zdążył. Zanim cenzura wydała zakaz. Była to epoka wszechwładnie panującego Macieja Szczepańskiego. Ale już wkrótce rzucono go jako jednego z pierwszych na pożarcie, dla zmylenia uwagi.

Jednak w 1980 i 81 „Solidarność” przedzierała sobie drogę do telewizji z najwyższym trudem, był to najlepiej strzeżony bastion i właśnie o ten mur, o dostęp do telewizji walczył sobie Związek głowę i stracił przytomność, zanim jeszcze nastąpił Radom, posiedzenie Komisji Krajowej w dniu 12 grudnia w Stoczni i stan wojenny.

W telewizji zawsze był strach i ostre podziały.



Rys. Tomasz Rzesutka

W 1982 tych, którzy najdzielniej pracowali przy umacnianiu twierdzy, awansowano do centrali i na korespondentów za granicę.

„Nie zweryfikowani” — jak to zwykle bywa przy radykalnych operacjach, że najpierw bardzo boli, a potem przychodzi ulga — wyszli z tego psychicznie zdrowi. Niektórzy znowu zaczęli mieć sukcesy. Terlecki założył Diecezjalny Ośrodek Video i zrobił dobre filmy, Adam „doradzał” Wałęsę po jego wyjściu z Ałamowa, napisał dwie książki.

Najłatwiej rozpoznana jest ta największa grupa pośrodku, telewizyjny szary tłum, ludzie zdemoralizowani, pokreśleni lub po prostu beznadzi. Są w niej przede wszystkim pracownicy techniki, rozmaici specjaliści od maszyn i urządzeń, bo telewizja jest zarazem gazetą i drukarnią, kinem i wytwórnią filmową, sceną i fabryką, w której zdobywa się i wykonuje zawody specyficzne, przydatne jedynie dla tej fabryki.

W tej grupie różni zachowywali się różnie. Opowiada się na przykład, choć nie wiem, ile w tym prawdy, że pewna prezenterka umyślnie złamała sobie rękę, aby przeczekać stan wojenny.

Tymczasem kryzys moralny i gospodarczy wycisnął i na tym podwórku piękno, widoczne gołym okiem. Leszek Kujawski, wchodząc po ośmiu latach nieobecności do budynku Ośrodka Telewizyjnego przy ulicy Sobótki westchnął: jeszcze większa stęchlizna, w toaletach te same pajęczyny, dywany w gabinetach też przyszarzały.

Wiele firmowych gdańskich dań spadło z ogólnopolskiej anteny, obniżył się poziom programów lokalnych, profesjonalna choć wewnętrznie pusta epoka Macieja Szczepańskiego jakby przemigła bez śladu, brakuje pieniędzy i idei.

Zanim lody ruszyły

Po zeszłorocznych strajkach, od kiedy nazwisko i twarz Wałęsy zaczęły się pojawiać w telewizji w raczej pozytywnych kontekstach, a Jerzy Urban zaczął używać uprzejmego zwrotu „pan Lech Wałęsa”, nastąpił

telewizyjny szok „okrągłego stołu”. Włodek Resiak, zamiast się ucieszyć, miał o to żółć. — Przejmują nas, bracie, przejmują, ani się obejrzyj, Adaś, jak i ciebie przejmą — wyzywał się u nas w domu. Adam mu odpowiadał, że on omija Ośrodek Telewizyjny przy Sobótce z daleka, bokiem, nawet jak jedzie samochodem. — To właśnie źle — wykręcał kota ogonem Włodek, bo powinien mieć plan, jak przejąć telewizję zanim oni nas całkiem przejmą.

W Gdańsku tymczasem narodził się filmowy biznes, powstały dwie spółki. Ale telewizja to jeszcze coś innego. I Włodek tęsknił.

W zakładzie fotograficznym, dobrze usytuowanym przy pryncypalnej gdańskiej ulicy, pozornie kwitł, a faktycznie wiał inny zapach — mianik telewizyjny, Janusz Daszczyński, z wykształcenia inżynier elektronik. Widział się w roli wirtuoza tej całej maszynierii. W roku 1982 realistycznie uczył się rzemiosła. Po kilku latach siedzenia w ciemni powiedział: nie jestem kret, jak mnie stąd nie wyciągniecie, jadę do Ameryki. Ale nie wyjeżdżał.

Gdy wybuchła bomba, bo te gwałtowne wybory, prawie równoczesne z legalizacją Związku, są bombą, i gdy Zarząd Regionu powierza Adamowi odpowiedzialność za telewizyjną kampanię wyborczą, Adam wie, na kim się oprzeć.

Jaka koncepcja?

Z „Akwenu” trzeba się urwać, żeby nie tracić niepotrzebnie energii. Zebrania przenoszą się na razie do nas do domu i trwają do późnych godzin. Są sami swoi: Włodek, oddelegowany przez spółkę „Modem” do telewizji na czas wyborów; Janusz, zostawił fotografię na łasce losu, czyli współnika; Leszek, no trudno, weźmie bezpłatny urlop w szkolnej bibliotece; Alicja, zdecydowała się wyłącznie z patriotycznego obowiązku, uważa, że telewizja to dom wariatów, wszyscy się denerwują i palą papierosy, a jej palenie szkodzi, nawet na filmie. Wkrótce dojdzie trójka Afanasjewów, Alina i dwóch Jurków, ojciec i syn; o jednym będzie się mówić Duży, o dru-

gim Mały. Mały Afanasjew ma męski tubalny głos, zostanie naszym firmowym lektorem. Nie znalazł Marka Ponikowskiego, do 1982 roku pracował w redakcji motoryzacyjnej TV w Warszawie, rzucił telewizję i przeniósł się wraz z żoną dziennikarką na Wybrzeże, gdzie założył wytwórnię długopisów. Teraz zawiesił interes na kołku i zgłosił się do Komitetu Obywatelskiego. Odesłano go tutaj. Jest jeszcze Wojtek Suleciński, młody doktorant uniwersytetu, specjalność historia starożytna, ale po uszy zanurzony w historii współczesnej poprzez działalność w niezależnym ruchu studentkim i wydawanie bibuły. Ma poczucie humoru i dość precyzyjne myślenie polityczne. Adam uważa, że rokuje duże nadzieje. Będzie się nim wyręczał w studio.

Rano jestem jak otepiła od ich rozmów, choć parzę tylko herbatę, merytorycznie się nie angażuję. Zresztą, połowy tego, co się mówi, nie przyswajam: PAL, SECAM, BETA-CAM, VHS i tym podobne, są to, zdaje się, nazwy rozmaitych systemów telewizyjnych, kamer i maszyn montażowych, na których będzie się pracować, a z których, o ile dobrze rozumiem, jedno do drugiego nie pasuje. Początkowo Adam liczył, że produkcję filmową przejmie w całości Marian Terlecki, a on zostawiłby sobie studio oraz stronę redakcyjną, czyli ogólny kształt kampanii. Ale „Video” ma własne plany filmowe i brakuje mu realizatorów, więc wszystko się będzie smażyć razem w jednym kotle. Do dyspozycji telewizji oddaje się Rysiek Grabowski, który będzie nas dzielnie wspomagał; na razie wpada i wypada, ciągle się spieszy. Spółka „Profilm” oferuje pomoc w postaci sprzętu z obsługą techniczną — to ważne na wypadek, gdyby współpracujący z zespołu telewizyjnego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” z gospodarzem, czyli oficjalną telewizją, ułożyła się niepomysłnie. Na tę okoliczność pożyczą nam awaryjną amatorską kamerę filmową „ósemkę”, która zawsze powinna być pod ręką. Maciek Grzywaczewski, szef „Profilu”, zachowuje się w tym rozpalonym towarzystwie najspokojniej. Radzi podejść do sprawy profesjonalnie i zapewnić sobie fundusze. Adam z Januszem zapewnił zespołowi, jak dotąd, tylko pieczątki. Zaopatrzyli w takie rekwizyty Janusz jedzie do Warszawy. Wracą z przyjemnym zapewnieniem, że z funduszu wyborczego będzie dla Gdańska 6 milionów, ale nie przywozi pieniędzy. Ma uczucia mieszane. W Warszawie zastał euforię, ludzi nawiedzonych, a on jest niepoprawnym realistą. I taki już zostanie, stąpający po ziemi. — Coś mi się widzi — mówi — że będzie dobrze, jeśli z tego, co obiecali, dadzą połowę.

Ustalają w ogóle, że trzeba przyjąć ton zrównoważony, realistyczny. Żeby trafić nie tylko do entuzjastów i przekonanych zwolenników. Ale czy to będzie porywające, ciekawe, jak się obędzie „Solidarność” z poezji? Potrzebne jest coś... ktoś... Ale co, kto?

— Mam! — krzyczę do Adama, przerywając mycie garnków. Przy tym zajęciu, o dziwo, przychodzą mi do głowy pierwszorzędne pomysły — mam dla was koncepcję! Weź Kasię!

— Kasia? — Zastanawia się — no tak, rzeczywiście. Ale czy ona się zgodzi? Czy Jacek jej pozwoli?

Tak, Katarzyna Bogucka-Krenz to jest koncepcja.

Kasia, także była dziennikarka telewizyjna, jest po pierwsze miła i ładna. Po drugie, ona jest z naszej uliczki zwanej Starą Wileńską. Mieszka po sąsiedzku. Po trzecie...

— Kasiu, ty musisz podziwować „Solidarność” i wybory wobec naszej ulicy. Będziesz gospodynią całego programu.

— Ja? — wydaje się spłoszona — ale czy to nie będzie z mojej strony nadużycie? Nie byłam atestowana ani prześladowana, nie wyrzucono mnie nawet z telewizji, nigdy nie zajmowa-

łam się polityką. Zanim zdążyli mi na weryfikacji postawić parę pytań, czmychnęłam na urlop wychowawczy i po prostu nie wróciłam. Namawiali mnie, żeby wrócić, kilka razy dzwonił naczelny.

— I co mu odpowiedziałas?

— Że bardziej mnie potrzebują mąż i dzieci.

Śmiejemy się, to jest właśnie cała Kasia. W stanie wojennym zajmowała się trochę działalnością charytatywną, głównie jako tłumaczka rozmaitych anglosaskich i francuskosłowiańskich grup ludzi dobrej woli, przywożących do Polski żywność i leki. Ale głównie chuchała i dmuchała w swój dom. Zawsze otwarty, ostentacyjnie polski, dla gości o każdej porze herbata i ciasteczka upieczone osobiście, koniecznie na haftowanym obrusie. Przechowywała wartości wyniesione z rodzinnego domu, z tradycji wielu inteligentkich pokoleń. Ta tradycja to dobre książki w bibliotece, obrazy na ścianach, dzieci dobrze wychowane.

Jest piękny majowy dzień, siedzimy u Krenzów w ogrodzie, wśród krzaków róż uprawianych przez Kasię i Jacka z niezwykłą pieczołowitością. Dyskutujemy o wyborach. Tak, Kasia będzie dobra — myślę — najlepsza. Ona, która żałuje róż, gdy płoną lasy. — No co — pytam — zgadzasz się?

— Wiesz — mówi wymijająco — kiedy pracowałam w telewizji, już pod koniec, to były bardzo napięte miesiące „Solidarności”, wypożyczano mnie parę razy do Warszawy do czytania dziennika, choć byłam w redakcji muzycznej. Zrobiłam tam pewną obserwację. Że są dziennikarze i prezenterzy, którzy przeczytają wszystko, cokolwiek im się podłoży, i inni, którym nawet się nie proponuje. Mnie nie wszystko podkładali. No dobrze, zgadzam się, jeśli ty tam będziesz. To jest mój warunek.

Spokojnie

Złożenie z grubsza jest takie: studio — Adam i Kasia. To jest element niezmienny. Studio dlatego, że jest to najbardziej konserwatywna forma telewizyjna, do której telewizji sa przyzwyczajeni. Będziemy konserwatywni, dostosujemy się do tego gustu. Wprawdzie forma jest wytarta, ale wypełnimy ją nową treścią.

Alina Afanasjew przynosi projekt scenografii: na wielkiej, przykrywanej całą ścianę planszy solidarnościowy tłum, czerń, czerwień. Adam nie jest zadowolony, wołałby więcej bieli. Niech będzie, Alinko, czysto, przejrzyste, emblematy „Solidarności” na białym tle, niżej plansze pięciu województw: Gdańsk, Elbląg, Bydgoszcz, Toruń, Olsztyn — wszystkie pozostające w zasięgu gdańskiego ośrodka telewizyjnego. Pod każdym z napisów z daleka czytelne nazwiska kandydatów na posłów i senatorów z tamtejszych komitetów obywatelskich.

— I to wszystko? — pytam. — Wydaje mi się, że to będzie nudne. — Nie — mówi Alina — on ma rację. Zostanemy na razie przy tej skromnej, spokojnej dekoracji. Dodamy tylko kwiaty, zieleni i identyfikujące „Solidarność” odznaki w klapach prezenterów. I poczekamy, co będzie dalej. W miarę rozwoju sytuacji i podnoszenia się nastrojów możemy ewentualnie wprowadzić trochę więcej ekspresji.

Ta treść to jest wszystko, co musimy przypomnieć lub powiedzieć telewizzom z okazji wyborów. Kwestie polityczne wygłasza Adam. Mówi klarownie, komunikatywnie, precyzyjnie formułując myśli, bez egzaltacji. Kasia apeluje do serca, do prywatnych ludzkich wspomnień i doświadczeń. Mówi elegancko, dobrą polszczyzną. Nie trzeba nimi manipulować. Tacy oboje są, wystarczą, że zostaną sobą. I racje, i emocje na szczęście są po naszej stronie.

ciąg dalszy na str. 8

ODEZWA NACZ. PAŃSTWA.

Obywatele Rzeczypospolitej! Ojczyzna w potrzebie!

Wrogowie otaczający nas zewsząd skupili wszystkie siły, by zniszczyć wywalczoną krew i trudem żołnierza polskiego niepodległość naszą. Zastępy najeźdźców, ciągnące aż z głębi Azji, usiłują złamać bohaterstwo wojska nasze, by runąć na Polskę, strącić naszą niwę, spalić wsie i miasta i na emontarzysku polskim rozpocząć swoje straszne panowanie.

Jak jednolity, niewzruszony mur stanąć musimy do oporu. O pierś całego narodu rozbić się ma nawała bolszewizmu. Jedność, zgoda i wytężona praca niech skupi nas wszystkich dla wspólnej sprawy!

Żołnierz polski, krew brosząc, na froncie, musi mieć to przeświadczenie, iż stoi za nim cały naród, każdej chwili gotowy przyjść mu z pomocą.

Chwila taka nadeszła.

Wzywamy tedy wszystkich, zdolnych do no-

szczenia broni, by dobrowolnie zaciągali się w szeregi armji, stwierdzając, iż na Ojczyznę kaady w Polsce z własnej woli gotów rzuć krew i życie.

Niech śpieszą wszyscy: i ci, młodość i siłę osuwający w tyłach, co żelazem odpięrad będą najazd wroga, i ci, którzy stanąć mogą do pracy w instytucjach wojskowych, by zwolnić z nich i zastąpić tych, co na froncie przydatni być mogą. Niech na wołanie Polski nie zabraknie żadnego z jej wiernych i prawych synów, co wzorem ojców i dziadów pokotem położą wroga u stóp Rzeczypospolitej.

Wszystko dla zwycięstwa! Do broni!

W imieniu Rady Obrony Państwa

J. Piłsudski

Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz.
Warszawa, d. 3 lipca 1920 r.



Cud nad Wisłą

Opracowali:
Maciej Kostun
Piotr Semka



HEJ KTO POLAK
NA BAGNETY!....



Polubić telewizję...

ciąg dalszy ze str. 6

Ten szkielet wypełnią krótkie filmy. Ideałem byłoby pokazywać w nich kandydatów „Solidarności” tak, żeby stawali się ludziom bliscy i zupełnie zrozumiali, jako osoby im podobne, prywatne, które mają takie same jak my zainteresowania, marzenia, żony i dzieci, i może tylko trochę więcej hartu ducha, odwagi.

Porozumienie

Tak, teraz trzeba będzie wreszcie wejść do tej samej rzeki, do której podobno dwa razy nigdy się nie wchodzi, pokonać w sobie barierę psychologiczną, niechęć, wleźć w oficjalną telewizję i współpracować z nią, bo to przecież się nie może obejść bez współpracy.

Tymczasem — w jaskini lwa albo już nie lwa, albo lwa udającego baranka — kurtuazja. Kierownictwo Gdańskiego Ośrodka nie ma zamiaru płynąć pod prąd porozumienia, jeżeli oczywiście ze strony „Solidarności” nie będzie takich tendencji.

Otrzymujemy przepustki, pokój redakcyjny z telefonem do naszej dyspozycji i garderobę obok studia. — Możemy was także wesprzeć — proponuje redaktor naczelny — naszymi dziennikarzami. — Nie, nie — odmawia szybko Adam — mamy inny styl pracy.

Zrozumieliśmy się, jesteśmy kulturalnymi ludźmi, trzy tygodnie można wytrzymać. — Włodziu — mityguje Adam Włodka, który aż się pali, żeby mimo wszystko temu i owemu, napotkanemu na korytarzu, dać to i owo do zrozumienia — realizujemy w sposób praktyczny narodowe porozumienie, to jest nasza filozofia życiowa.

— Dobra — syczy Włodek przez zęby.

Trzeba lojalnie przyznać, że ta postawa zostanie przez tamtą stronę doceniona.

Gdzie indziej podobno nie było tak dobrze, jak w Gdańsku, dochodziło do konfliktów i awantur.

Dobry wieczór, zaczynamy...

Dziwiącego maja pierwsze nagranie, jutro po raz pierwszy na antenie „Solidarność”. Tłok w realizatorni przekracza wszelkie wyobrażenia. Ale realizator, pan Józek, rozumie nasz nastrój. Jesteśmy wszyscy w komplecie, każdy chce przy tym być. Wojtek Suleciński przyprowadził ze sobą Tomka Posadzkiego, prawnika, który będzie udzielał instruktażu, jak głosować. Dziś nie zmieści się na wizji. Tylko 7 minut. To mało, ale i dużo. Krzysztof Zanussi mówił, że dla wyprodukowania dwóch minut filmu potrzebuje dwu dni. W profesjonalnych warunkach, z armią ludzi. Nasz zespół liczy 14 osób, do wyborów zostały, nie licząc niedziel, trzy tygodnie, mamy do zaprezentowania 27 kandydatów z 5 województw.

Zapalono światła w studio, które obserwujemy przez szklaną szybę. Przed nami rząd monitorów, ale na każdym co innego widać i nie mogą się w tym połapać. Duży Jurek rozsiadł się w fotelu koło głównego realizatora i nie umie skryć zadowolenia, że tu jest, satysfakcji, że znowu wszedł główną bramą.

— Kasiu — mówi — rozluźnij się i uśmiechnij. — Do niego należy ostatni szlif artystyczny. — Tak, teraz dobrze. Adam, podnieś wyżej głowę, nie mamy się czego wstydić.

Adam i Kasia uroczą się — ona na jasno, on w ciemnym garniturze.

Sygnal muzyczny „Solidarności” Włodzimierza Korcza. Rano przestała nam go Warszawa po łączach. Ma kilka wersji, podoba się nam. Plansza, napis „Solidarność” z furkoczącą chorągiewką. Jest w tym coś wesołego, to też nam się podoba. Plansza z napisem otwiera się jak okładka książki. Otwiera nowy rozdział.

Na twarzach ekipy technicznej pewne wzruszenie. I ciekawość. Interesuje ich to, co robimy.

I potem studio: — Dobry wieczór państwu. Tu studio wyborcze Komitetu Obywatelskiego. Nie było nas tu parę lat. Trochę odwykliśmy od reflektorów i kamer studia telewizyjnego, prosimy o wybaczenie. — To Kasia. — Stawiliśmy się do pracy, aby wspomóc tę polską szansę, która właśnie się rodzi. Cóż to za szansa? Oto my, zwykli obywatele, będziemy wreszcie mogli bez strachu, a z czystym sumieniem, powiedzieć nasze „tak” lub nasze „nie”. Może to niewiele. Jednak od tego wyboru będzie w przyszłości zależało bardzo wiele. Teraz nastąpi argumentacja, czyli Adam: — Stało się tak, ponieważ za tym naturalnym prawem stała pewna siła społeczna i moralna, stała i wytrzymała napór. Dziś staje się ona faktem politycznym, działa legalnie, tworzy własne struktury, rekomenduje kandydatów do Sejmu i Senatu.

Przyrząd do pomiaru stresów, który Kasia podczas próby trzymała w rękę, wręczony jej przez zaprzyjaźnionego z zespołem psychologa, nie wykazał zdenerwowania. Kiedy człowiek mówi to, co czuje i myśli, przestaje się stresować.

Po nas nagrywa swój 23-minutowy kawałek koalicja. Współczuję im. Zauważam, że w ich inauguracyjnym programie nie ma akcentów uroczystych. Redaktor Kański rozmawia z kandydatem na senatora, prof. Kołodziejskim. Ma na sobie nonszalancki czerwony sweter.

Dobre życiorysy

Na pierwszy ogień idzie Gdańsk. W tym regionie czujemy się pewnie. Listę gdańską otwiera Jacek Merkel. Sylwetkę filmową Merkela przygotował jego dobry znajomy, Rysiek Grabowski. Zdjęcia archiwalne, entuzjastyczny okres Związku, Merkel daje się poznać w stocznicy jako zdolny konstruktor i dobry organizator. Kładziemy nacisk na sukcesy zawodowe. Dyplom ukończenia politechniki z doskonałym wynikiem, świetne widoki na karierę. Jacek Merkel jest młody, ma sympatyczną poważną twarz; utalentowany i przystojny, wygląda na pieśczocho losu. Inteligentna, miła żona, córeczka, szczęście rodzinne. 13 grudnia przerywa ten dobry ciąg. Dalej jest to, o czym wszyscy wiedzą.

A może nie wszyscy? Może niektórzy nie chcieli wiedzieć? „Solidarność” na ekranie robi duże wrażenie. Gratulacje, telefony od znajomych i nieznajomych. Bogdan Borusewicz ściska Adama.

Ale najbardziej zaskakująca jest reakcja mojej uliczki. Spotkanie towarzyskie poświęcone tematyce wyborczej. Sami mężczyźni. Znany lekarz, dwu prywatnych przedsiębiorców, marynarz, architekt, inni, których nie znam. Rozmawiają o Merkelu: taki zdolny, a nie mógł dostać pracy, to świństwo i marnotrawstwo. Gdy był internowany, została żona w ciąży. Oni także są zdolni i mają żony. To nie jest fanatyk, nieudacznik; w każdych warunkach mógłby być kimś. Dlaczego wybrał taką drogę, taki los? W imię jakichś wartości. Od udziału w wyborach się nie wstrzymają, nawet pójść głosować zbiorowo, całą uliczką. Chcą poprzeć „Solidarność”.

Sasiadka przychodzi do mnie codziennie konsultować swoje wątpliwości. Czy ten Lis jednak udźwignie rolę senatora? Ona osobiście bardziej widziałaby pana Kołodziejskiego. No, ale Lis odważny. Chyba w końcu poprze Lisa.

Kasia przynosi każdego dnia do studia świeże kwiaty, zupełnie oszałamiające

ciąg dalszy na str. 12

Z tegorocznego Hyde Parku nikt nie był zadowolony. I trudno tu kogokolwiek winić za ten stan rzeczy. Przed czołowym spotkaniem grup kontrkultury stanęło widmo Jarocina.

Hyde Park to impreza, która zdążyła już obrosnąć legendą. Po 1985 narodziła się idea wolnego spotkania dyskusyjnego kręgów pacyfistyczno-anarchistycznych. Grupa organizatorów z Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego rozsyłała zaproszenia do poszczególnych środowisk niezależnych, chcąc zebrać do dyskusji reprezentantów rozmaitych światopoglądów. Na pierwszy „Park” zjechało 100-150 ludzi, rok potem było ich już ponad 200. Oczywiście wpływ na liczbę uczestników miała pewna konspiracyjność imprezy, jak i inwigilacja SB. Jej formy były różne: od filmowania uczestników i ich legitymowania po zniszczenie na imprezie „Tadzy-Pao” — wielkiej tablicy wysmarowanej hasłami i malowidłami. O atrakcyjności imprezy zdecydowała formuła wypoczynku w plenerze połączonego z dyskusjami, działaniami parateatralnymi i prezentacjami undergroundowej poezji. W miarę ocieplania się klimatu politycznego, frekwencja rosła. W Hyde Parku w Białogórze brało już udział



Fot. Piotr Semka

blisko 900 osób. Stosownie do tego, tegoroczny, piąty już Hyde Park, był przygotowywany jako

wielka impreza.

Po raz pierwszy wynajęto pole namiotowe w ośrodku wypoczynkowym „Zatonie” koło Lubieszewa, przygotowano estradę dla rockowych kapel wraz z nagłośnieniem oraz pobierano 1500 zł od każdego przybywającego na zlot. Personalie uczestników spisywano i przekazywano władzom meldunkowym. Organizatorzy wywodzący się z WiP i ruchu „Twe-Twa” (to ostatnia nazwa to ironiczna trawestacja zakończenia refrenu znanej pieśni: „Ojczyzno Ma... Jakże długo cierpienie Twe Trwa”) wydali na imprezę ponoć 2 miliony zł, z czego spory procent stanowiło wynajęcie nagłośnienia i akustyka.

Wiesć o zamiarach wynajęcia przez anarchistów lubieszewskiego pola namiotowego zaalarmowała wojsko, mające w tym terenie liczne poligony. Dookoła pola rozstawiono tablice „Poligon wojskowy. Wstęp grozi śmiercią”. To ostrzeżenie wykorzystali organizatorzy, wypisując u wejścia do obozowiska: „Dookoła same poligony. By zidentyfikować wszystkie ofiary, złóż dane do meldunku”. Sprawa wyjaśniła się na trzeci dzień imprezy, gdy z obozu wyruszyła pacyfistycznie nastawiona grupa, która z hasłem „chcemy do wojska” weszła na zakazany teren by bratać się z żołnierzami. Podługim marszu przez okoliczne lasy z żalem uznano, iż w okolicy brak militarnej braci i nie ma komu okazać braterskich uczuć. Oczywiście zjawili się zdziwieni wyglądający 40-latkowie, nie kryjący swej resortowej przynależności. Być może wyciągnięto wnioski z poprzedniego „Parku”, gdy ogolony okazyjnie na skina osobnik pojawił się z nieodłączną skórzaną szaszetką...

Starzy bywalcy Hyde Parków z niesmakiem obserwują przekształcanie się imprezy w masówkę. Tego roku do Lubieszewa zjechało mnóstwo „sezonów” — chłopaków z małych miejscowości, którzy wyrwawszy się z domu, golą głowę na punka, zakładają skórę

i przyjeżdżają wyżyć się za pomocą alkoholu. Umasowienie spowodowało spłylenie imprezy. Zaowocowało to zadykami, w ruch poszły okute pasy. Najgorsza okazała się noc po drugim dniu. W wyniku rozróby pocięto nożem namiot, jednego poszkodowanego odwieziono do szpitala, zaś dwaj inni paradowali nazajutrz z obandażowanymi głowami. Na domiar złego doszły wypadki kradzieży. W tej sytuacji organizatorzy ogłosili zawieszenie imprezy aż do wyjazdu grupy zadymiarzy. Co prawda poskutkowało to, gdyż do końca było już w zasadzie spokojnie, ale podobne fakty były na wcześniejszych zlotach nie do pomysłenia. Panowanie nad tak dużym tłumem (na „Park” zjechało ok. 1500 osób) zaczyna już być problemem. Gdy uczestników było stu, dwustu — łatwiej było zorganizować dyskusję czy happening. Właśnie brak dyskusji, prezentacji poglądów, najbardziej

odróżniał tegoroczny „Park” od tych z połowy lat 80-tych.

W tym roku najistotniejszym elementem imprezy były wieczorne koncerty rockowe z przewagą punka, rzadko przeplatane alternatywną poezją. Tu furorę zrobiła żywa legenda undergroundu — lider formacji „Rozk rock” Ziggy Stardust, który podbił serca dość pieprznym, tasiecowym poematem „Ala i Romero”. Hyde Park stał się przeglądem najautentyczniejszego nurtu młodzieżowego rocka. Nie zawsze sprawnego warsztatowo ale i nie skażonego jeszcze szmałem. Każdy występował za darmo, nie licząc na komercyjny sukces. Nazwy grup mówią same za siebie: „Atomowy Moskwicz”, „Reżim generała Władka” czy „Przyczłapda do Bulgatora nr 6”. Z estrady płynęły słowa głębokiej nieufności i rozczarowania wobec otaczającego świata. Niekiedy pojawiało się nazwisko Wałęsy, z reguły obdarzane niewybrednymi epitetami, na równi z komunistycznymi bonzami. To także znak czasu...

W wielu piosenkach pobrzmiwała chropowata stylistycznie poetyka buntu, przypominająca wczesny rock końca lat 70-tych, pierwsze koncerty w Jarocinie. Ale sprostytuowanie się jarocińskiego festiwalu rockowego (niegdysiejszy symbol młodzieżowej kontestacji zdążył znaleźć się na liście dotacji ministra Krawczuka) spowodowało przesunięcie się na Hyde Park licznych kapel i wielu młodych. Jeden z uczestników poprzednich imprez tak komentuje ten trend: „Nie jestem za elitaryzmem, jednak umasowienie spłyca Hyde Park i jest dla niego na dłuższą metę zabójcze. Taniec »pogo« nie zastąpi dyskusji czy udziału w improwizowanych występach teatralnych. Za dużo było informacji, zjechało się wielu idiotów i są zadymy”.

Owo rozgoryczenie dało o sobie znać w dramatycznym wezwaniu ze sceny jednego z występujących: „Jak chcecie się napierdalać, to jedźcie do Jarocina. Dlaczego, jak koleś leży, to reszta go kopie. Nie chcę by tu było tak samo jak tam. Tu mogę powie-

zieć to, na co mam ochotę, bawić się tak, jak chcę. Więc dlaczego tu musi być tak samo jak gdzie indziej?”. Na ile te słowa trafiły do masy nastolatków gwałtownie napawających się swobodą?

Na tegoroczny „Park” przybyła największa jak dotąd grupa zagranicznych gości. Co charakterystyczne, równoległe do mniejszej w tym roku obecności WiP-u, przybyły reprezentowali w większym stopniu tendencje anarchistyczne, niż pacyfistyczne. Byli więc „anarchole” z Holandii, Francji, Szwecji, Włoch, Węgier i NRD. Mimo ich szczerych intencji wyczuwało się, iż przyjezdni z Zachodu przybywają z innego świata. I nie szło o to, że parę tyków krajowego wina owocowego niemilosierdzie krzywiło im twarz. Anarchiści z Holandii, żyjąc na zasiłkach dla bezrobotnych, przyjechali do Polski turystycznym mikrobusiem. Za pomocą przywiezionych ze sobą magnetowidów i slajdów prezentowali organizowane przez nich akcje. Blokowanie fabryk Shella w proteście przeciw współpracy tej firmy z RPA czy ruch „squattersów” zajmujących pustostany (ich właściciele wolą skazywać domy na wolną dewastację, niż ponosić koszty rozbioru). O ile jednak, podawane przez Holendrów z oburzeniem, represje policji ograniczają się do kar grzywny i krótkotrwałych aresztów, to relacjonowane przez koleśków z NRD metody „Volkspolizei” obejmują zarówno całonocną inwigilację poszczególnych dysydentów, jak wieloletnie więzienia, nawet za zamiar zorganizowania demonstracji...

Hyde Park stał się też swego rodzaju targiem niezależnej prasy, reprezentującej tzw.

trzeci obieg.

Zjazd „załóg” z całego kraju pozwolił ocenić rozmiary prasy, która ma najwięcej praw do używania przymiotnika „niezależna”. Wywodzi się ona z fanzinów, pisemek wydawanych przez polskie grupy punkowe w latach 80-tych. Na „Parku” można



Piotr Semka

I SEZONY

było nabyć 17 różnych tytułów. O różnej grubości, poziomie druku i poziomie treściowym. Od surrealistycznych komiksów „Sidorak”, sygnowanych przez Przedsiębiorstwo Puszczania Kitu w Obieg, poprzez dwukartkówki już nieco monotonicznie bazujące na szyderstwie z PRL-owskiej rzeczywistości, po magazyny o ambicjach rejestrowania kultury undergroundu, takich jak interesujący „QQRYYQ” z Warszawy.

Oprócz tematyki pacyfistycznej czy ekologicznej pojawiają się i nowe wątki, jak np. protest przeciw doświadczeniom na zwierzętach. Pisma trzeciego obiegu stają się też podstawą, na której formują się nowe trendy polityczne. Na przykład grupa skupiona wokół gdańskiego periodyku „Spartakus” ma ambicje stworzenia anarcho-syndykalnych związków zawodowych opartych nie na elitach, jak „Solidarność”, czy dominacji partii, jak OPZZ. „Spartakus” powstał w czasie strajków sierpniowych 1988. Chce zająć się obroną ludzi pracujących dorywczo, a także interesami odrabiających zastępczą służbę wojskową, jak i totalnie odmawiających służby wojskowej (odrzucających i służbę zastępczą). „Co z tego, że nastąpi reprivatyzacja, że komuna odstąpi część swej władzy — rezultatem będzie to, że będziemy mieć nowe Chile” — mówi jeden z redaktorów „Spartakusa”.

Inne magazyny poruszają problemy, których bezskutecznie można szukać w solidarnościowej prasie. Przykładem jest artykuł z 13 numeru pisma „QQRYYQ” na temat problemu skin-headów. Czytamy w nim: „Od ponad roku nie odbyła się w Polsce prawie ani jedna udana większa impreza rozrywkowa. Większość imprez jest skrupulatnie dezorganizowana przez gangi skinów. Dotyczy to zarówno imprez legalnych jak i nielegalnych... Mówi się coraz więcej o rzeczy, która przedtem wydawała się nieistotna i głupia, a która okazała się dokładnie manipulowaną, odgórną manipulacją... Całe środowisko

skinów od ponad roku jest kontrolowane i sterowane przez resort spraw wewnętrznych...”

„Antytabu” — bojowe pismo obyczajowe — w artykule wstępnym pisze: „Antytabu jest pierwszym w demoludach pismem walczącym o swobody obyczajowe. Podstawą istnienia pisma jest przekonanie, że wyzwolenie się od jakiejkolwiek formy totalitaryzmu polega na zdobyciu wolności ludzkiej, określanej przez wolny wybór w realizacji podstawowych potrzeb, do jakich należy także seks. Nie przypadkowo walcząc o wolności podstawowe wybraliśmy sferę erotyki. W Polsce zdominowanej przez silne wciąż formy totalnego komunizmu i tradycjonalistyczny kościół, walka o edukację seksualną, zniesienie cenzury obyczajowej, tolerancję wobec blisko milionowej rzeszy homoseksualistów jest szczególnie widoczna...”

W piśmie znajdują się materiały o historii emancypacji homoseksualistów, list do Sejmu grup feministek w sprawie ustawy o przerywaniu ciąży, poradnik „przewyciężenia męskiej presji w grupach mieszanych” jak też brukowe przeróbki „Pana Tadeusza” oraz reprodukcje z zachodnich pornoli.

Mimo że uwagę większości przykuwały wielogodzinne koncerty, tegoroczny Hyde Park stał się okazją do zjazdu działaczy anarchistycznych z całego kraju. Co ciekawe, przybyli na „Park” anarchiści nie szokowali wygolonymi „na irokeza” czubami, mało który nosił nawet skórę. W porównaniu z „sezonami”, zewnętrznie zaznaczającymi swą odrębność, zachowywali flegmę i niewzruszony spokój. Różnił ich nawet wiek — dwudziestoparoletnia czarna awangarda nie uczestniczyła w zdominowanym przez nastolatków tańcu „pogo”. Zamiast więc popisów tanecznych, anarchiści wytrwale debatowali. W pewnym oddaleniu od opanowanego przez krzykliwy żywioł namiotowiska, na zaplecu stołówki ośrodku wczasowego, trwały wielogodzinne debaty nad raczkowaniem w Polsce idei, za

którą życie oddali Sacco i Vanzetti. Jaki jest więc ten

anarchizm dziś?

Dla wielu rozwój anarchizmu w ostatnich latach w Polsce jest zaskoczeniem. Jednak idea ta rozwija się u nas już od dłuższego czasu. Anarchizm kielkował od końca lat 70-tych, wraz z pojawieniem się kultury alternatywnej, najbardziej znanej z eksplozji grup punkowych i nowofalowych. Silnym ośrodkiem poszukiwań nowych idei był Toruń. Jednakże tendencje te zostały nazwane i sformalizowane w 1983 w Gdańsku. Powstały wówczas Ruch Społeczeństwa Alternatywnego (RSA) był czymś szokującym. Gdy w pogrudniowej rzeczywistości podziemny organ RSA „Homek” zamieścił przedruk pism Bertranda Russela, krytykujący religię, wiele podziemnych kanałów kolportażu uznało to za prowokację i odmówiło rozprowadzania pisma. Czarne flagi RSA pojawiały się na wielu zadymach, ruch otrzymał też od „Solidarności” powielacz. Z pojawieniem się ruchu Wolność i Pokój i jego dynamicznym rozwojem, RSA zszedł jednak na drugi plan. Głódówki, demonstracje, sittingi — rozpęd WiP-u trwał do 1988. Po przyznaniu służby zastępczej, wypowiedzi utracili dynamizm, pojawiły się głosy, iż byli organizacją zadaniową. Wiatr w żagle chwycili anarchiści. Trzeba jednak pamiętać, iż podziały między WiP a RSA nie były sztywne. Ci sami ludzie byli aktywni i tu, i tam; liczyło się działanie, a nie etykieta.

Anarchizm trudno oddzielić od wielu inicjatyw pokrewnych, takich jak np. powstała w 1988 w Gdańsku grupa artystyczna „Tot-Art” czy wrocławska grupa „Legendarny Leksus”, a nawet potem „Pomarańczowa Alternatywa”. Swoistą ciekawostką było duszpasterstwo anarchistów, działające od grudnia '87 do lipca '88 przy kościele św. Brygidy w Gdańsku. Na cotygodniowych dyskusjach obowiązywała dewiza: „każdy zapomina jakie ugrupowanie reprezentuje”, co miało ułatwić nieskrępowaną wymianę opinii. Odbywały się projekcje wideo, występowało nawet „muzeum objazdowe” Tot-Artu. Po maju '88 w kościele zainstalował się MKO „Solidarności” i działalność duszpasterstwa zamarła. Mimo to anarchiści do końca zachowali z ks. kanonikiem bardzo poprawne stosunki.

Fot. Jacek Piotrowski

Pierwsze ogólnopolskie spotkanie anarchistów odbyło się w Gdańsku 30 października 1988. Powołano wówczas Międzymiastówkę Anarchistyczną — „Sieć Wymiany Pozytywnej”. W założeniu inicjatorów nie miała to być konkretna organizacja. Chodziło o powołanie luźnego ruchu opartego jedynie na wymianie doświadczeń w budowie wspólnot anarchistycznych, konfrontacji poglądów, wymianie prasy. Międzymiastówka ta nie miała firmować żadnych akcji, kontakt z nią nie zobowiązywał do jakichś konkretnych działań; chodziło o sieć wolnych komórek anarchistycznych. Idea nie sprostowała jednak rzeczywistości. Jak wyjaśnia jeden z działaczy ruchu, „Ludzie lynęli nazwę »Międzymiastówka«. Używano jej do firmowania

opinii nieuchronnie fali niezadowolenia społecznego. Mają wówczas zamiar lansować program „Samorządnej Rzeczypospolitej”, który w ich opinii wyraża się poprzez obejmowanie przez robotników władzy nad zakładami pracy, poprzez obejmowanie uczelni przez samorząd studentów i wykładowców.

Jak dostosować jednak państwo-woburcze idee do konkretnych działań? Oto opinia jednego z aktywistów: „Dylemat anarchistów polega na tym, iż trudno znaleźć realną alternatywę dla takich form organizacji społecznej, jak państwo czy rodzina. One już istnieją i to jest ich główna zaleta. Jednak ich wady sprawiają, iż anarchiści w ramach swego programu chcą stworzyć wzory struktur alternatywnych.



Fot. Piotr Semka

różnych ulotek, demonstracji. Także otoczenie zaczęło uważać ją za konkretną organizację”. W czerwcu '88 na zlocie w Dobrzem Wielkim, strukturę „Międzymiastówki” zmieniono z „sieci” na „federację anarchistyczną”, skupiającą 16 ośrodków. Utworzono pierwszą centralną strukturę — Biuro Informacji Federacji, mające zbierać dane o inicjatywach anarchistycznych i wydawać własny biuletyn. Powołanie federacji wzbudziło sprzeciw części aktywistów. Janusz Waluszko z Gdańska zaznacza: „Na powołanie federacji jest jeszcze po prostu za wcześnie. Z »Międzymiastówki« zrobi się drugi WiP”. Podczas dyskusji trwających wśród działaczy M.A. na Hyde Parku, wyraźne były obawy przed instytucjonalizacją ruchu. Stąd też odrzucono pomysł powołania Rady Międzymiastówki. Do stałych organów M.A. doszły natomiast: rada funduszu, sekcja łączności z anarchistami na świecie, a także sekcja „czarnego krzyża” (przez analogię do Czerwonego Krzyża) — organizacji pomocy dla więzionych anarchistów. Funkcję władz M.A. mają przejąć zjazdu uczestników ruchu: wiosenny, jesienny i zlot na corocznym Hyde Parku.

Anarchiści wyznaczają sobie dwa horyzonty działań. Pierwszy horyzont, to budowanie alternatywy życia społecznego w zastanej rzeczywistości. Budowanie alternatywy dla siebie, z której korzystać mogą też inni. Przykładem takiej walki był udział anarchistów w proteście głodowym przed gmachem KW PZPR w Gdańsku, 9 czerwca br. Po sześciu godzinach protestu, przy pośrednictwie szefa regionu „Solidarności” Bogdana Borusewicza, reprezentanci „X Pawilonu” (grupy powołanej do akcji z działaczy M.A., „Twe-Twy”, WiP-u i FMW) zawarli porozumienie z prezydentem miasta, w którym zapisano obietnicę utworzenia w okolicach Katowic „Placu Wymiany Pozytywnej”, do którego nie miałyby dostępu siły porządkowe, oraz przekazanie klubu „Gedanus” we władanie organizacji nieformalnych młodzieży. Praca przy prowadzeniu klubu szła na poczet zastępczej służby wojskowej. Oprócz tego anarchiści włączają się w organizację happeningów oraz demonstracji. W Warszawie byli wśród organizatorów protestu przed ambasadą chińską, w Gdańsku nie raz wspierali protesty „Solidarności Walczącej” i Andrzeja Gwiazdy, nie kryjąc swego krytycznego stosunku do polityki „Solidarności”. Drugi horyzont swej działalności widzą w sytuacji nadchodzącej w ich

Możemy oddziaływać pośrednio, nasze kontrowersje będą wpływać na rzeczywistość społeczną, tak jak „szkoły leśne” Rabindranatha Tagore, oparte na zupełnie nowatorskim podejściu do relacji nauczyciel — uczeń, wpłynęły na reformy w szkolnictwie światowym w XIX w. Obecność anarchistów sprawiała też, że rządy łatwiej przychyliły się do proporcjonalnie mniej radykalnych żądań socjalistów. Przez oddziaływanie pośrednie chcemy struktur społecznych bez przymusu, rywalizacji i hierarchii”.

Wśród działaczy M.A. częste są nastroje rozgoryczenia w stosunku do „Solidarności”: „Zostaliśmy zdradzeni przez »S«. Póki były prześladowania, w podziemiu działaliśmy razem. Póki była koniunktura na współpracę z RSA i WiP, wszystko było cacy. To przecież ludzie od nas stanowili większość wśród wspomagających strajki w stoczni w maju i sierpniu 1988. Legalna „Solidarność”, obecna w Sejmie, debatująca nad udziałem w rządzie, stała się elementem oficjalnego establishmentu — i jako taka nie będzie akceptowana przez kontestującą młodzież. Z kolei dawno już nie prześladowany Kościół, jawi się anarchistom jako kolejny przeciwnik, pragnący nakładać ograniczenia obyczajowe.

Siłą rzeczy każda generacja podnosi problemy pominięte przez poprzednie fale protestu. W 1980 „Solidarność” postawiła na porządku dziennym sprawy podmiotowości społeczeństwa i obrony praw robotników. Powstały w połowie lat 80-tych WiP podjął nie dostrzeżone przez Związek problemy: służby wojskowej, ekologii i pacyfizmu. Nowa fala anarchistyczna dorzuca do tej listy nowe postulaty...

Oto słowa jednego z uczestników „Parku”: „Ludzie przyjeżdżają tu tak tłumnie, gdyż chcą odetchnąć świeżym powietrzem. Anarchizm jest dla części młodzieży atrakcyjny jako ruch najsilniej i najkonsekwentniej akcentujący imperatyw wolności. W ramach M.A. nie trzeba zawierać kompromisów i wybierać »mniejszego zła«; nie występują tu podejrzenia, iż własna aktywność stać się może pomostem dla czyjejś kariery politycznej”.

Jak określić tegoroczny Hyde Park? Impreza wyraźnie ewoluje w kierunku masowości. Żadne jednak słowa nie potrafią oddać nadal silnej atmosfery luzu, jaka tu panuje. Atmosfery wyrażonej hasłem „zabrania się zabraniać”.

Trójkąt

Trzy ostatnie dni ubiegłego tygodnia w Gdańsku kipiały od wydarzeń. Na zaplanowane wcześniej posiedzenia Prezydium Krajowej Komisji Wykonawczej (piątek), plenum KKW (sobota) oraz połączonych prezydium KKW i Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego (niedziela) nałożyło się desygnowanie nowego kandydata na premiera i jego wizyta w Gdańsku.

Oto wybrane problemy poruszone na naradach związkowego „szczytu”:

Pełnej jaskrawości nabral dylemat materialnej egzystencji NSZZ „S”. Związek nie ma żadnych szans utrzymania się bez działalności gospodarczej — powiedział Lech Kaczyński na obradach Prezydium KKW i dodał, że prowadzenie takiej działalności na szerszą skalę nieuchronnie narazi „Solidarność” na finansowe afery. Ludzie nie są aniołami, a sytuacja ekonomiczna stwarza pokusę do nadużyć. Bogdan Lis wyraził obawę, że związek zawodowy — powołany do ochrony pracowników — może przekształcić się w związek pracodawców.

Pomimo tych zastrzeżeń — Prezydium podjęło uchwałę, w której czytamy m.in.: *Zobowiązuje się Biuro Polityki Ekonomicznej do podjęcia działań w celu utworzenia spółki akcyjnej wraz z fundacją z udziałem NSZZ „S”, umożliwiającej prowadzenie przez różne szczeble Związku działalności gospodarczej.*

Biurowi ustalić ma również ramowe zasady tworzenia zakładów gospodarczych przez komisje zakładowe, zarządy regionów i Komisję Krajową.

Dyskutowano o terminie zjazdu NSZZ „S”. Nie odbędzie się on prędzej niż na przełomie lutego i marca przyszłego roku, a wpływ na to mają również problemy ekonomiczne. Kasa Związku świeci pustkami, składki spływają opieszale. Zgodnie ze statutem, zjazd nie może odbyć się później niż w rok od dnia rejestracji, tj. po 17 kwietnia 1990. Inna nie rozstrzygnięta kontrowersja dotyczy włączenia Grupy Roboczej i innych odłamów Związku w zjazdowe prace przygotowawcze.

Obrady KKW zdominowane zostały przez dyskusję na temat aktualnej sytuacji politycznej kraju.

Jak stwierdził Henryk Wujec: *Mamy do czynienia z sytuacją nietypową. „S” staje się związkiem prężnym, wchodzi zatem w rolę OPZZ, podczas gdy to ostatnie zajmuje dotychczasową pozycję „Solidarności”. Może dojść zatem do antyrządowych strajków, których organizatorem będą związki Alfreda Miodowicza i partia Mieczysława Rakowskiego.*

Władysław Frasyniuk przypuszcza, że gabinet Tadeusza Mazowieckiego będzie miał takie same problemy z opanowaniem nastrojów, jak poprzednie ekipy rządzące. Wyjściem z sytuacji wydaje się koncepcja Jacka Kuronia, uzupełniona propozycją Bogdana Borusewicza: o solidarnościowym moratorium strajkowym i udzieleniu poparcia dla nowego rządu.

— *Panie premierze, przybył Pan jeszcze bez obstawy BOR-u?* — tymi słowami w niedzielny poranek Lech Wałęsa powitał Tadeusza Mazowieckiego w progach plebanii św. Brygidy. — *Mam do pana dwie prośby — kontynuował przewodniczący — po pierwsze, by wydano mi przepustkę do pańskiego biura; po drugie, by uprzedzono mnie, gdy zechce mnie pan aresztować.*

Równie nietypowo rozpoczął się wiec na dziedzińcu kościoła. Z czterotysięcznego tłumu padały pojedyncze okrzyki: „Chcemy chleba, nie premiera”, „Sowieci do domu”, „Precz z podwyżkami”. Lecz w chwilę potem gremialne „Sto lat” na cześć Tadeusza Mazowieckiego.

Cieszę się — powiedział T.M. — że pierwsze me kroki skierowałem do Gdańska. Tu zaczęliśmy w roku 80. Widzę przed sobą ogrom zadań. Rozumiem, że przede wszystkim chleba, a nie premiera potrzeba. Zrzućcie z siebie to poczucie beznadziejności. Jesteśmy zdolnym narodem. Trzeba uwierzyć, że jest w nas siła. Ja też muszę uwierzyć, nie mam innej drogi. Polska żyje, Polska rośnie...

Posiedzenie prezydium KKW i OKP toczyło się przy drzwiach zamkniętych. W korytarzu koczowało kilkudziesięciu dziennikarzy piszących, kamerzystów i fotoreporterów. Na zaimprovizowanej konferencji prasowej Jacek Ambroziak poinformował, że spotkanie służy omówieniu zasad współpracy w trójkącie: rząd, „Solidarność”, OKP. Potwierdził też intencje skompletowania rządu w duchu szerokiej koalicji, co stanowi podstawę do spekulacji, że z pewnością więcej niż dwie teki w rządzie Mazowieckiego pozostaną w rękach komunistów. Premier pragnie jak najszybciej sformować gabinet. Jeszcze w sierpniu. Jest przekonany, że rząd, by dobrze sprawować władzę, nie musi robić wszystkiego. Wystarczy stworzyć warunki do tego, by ludzie i instytucje same zaczęły przejawiać aktywność...

Jarosław Kurski



Uroczystości na Westerplatte

1 września 1989, w 50. rocznicę wybuchu II wojny światowej, o godzinie 14 na Westerplatte biskup gdański Tadeusz Gocłowski — na prośbę Westerplaczyków i Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” Portu Gdańskiego — odprawi uroczyste nabożeństwo w intencji polskich żołnierzy poległych w obronie Ojczyzny. Podczas mszy ks. biskup poświęci nowe krzyże na cmentarzu poległych Westerplaczyków, zaprojektowane przez prof. W. Duszenkę. Nabożeństwo poprzedzi program artystyczny. Złożone zostaną wieńce na żołnierskiej mogile. Organizatorzy proszą, by organizacje kombatanckie, harcerskie, związkowe i rzemieślnicze wcześniej wydelegowały swoje poczty sztandarowe. Należy je zgłosić telefonicznie do KZ „S” w Porcie Gdańskim (tel. 43-92-50 i 43-93-50) lub na miejscu uroczystości, godzinę przed jej rozpoczęciem. Liczymy na liczny udział mieszkańców Wybrzeża, a szczególnie młodzieży i żołnierzy z jednostek stacjonujących w Trójmieście. Komunikację na Westerplatte zapewniają władze miasta.

Dni Sierpniowe

Tegoroczne obchody rocznicy Sierpnia '80 zakończą się uroczystą mszą połową koncelebrowaną przez ks. bp. Tadeusza Gocłowskiego przed Pomnikiem Poległych Stoczniovców na Placu „Solidarności” w Gdańsku. Odbędzie się ona 31 sierpnia o godz. 17, a uczestniczyć w niej będą delegacje „S” z całego kraju.

Tego samego dnia — w przeddzień rocznicy wybuchu II wojny światowej — ks. bp Andrzej Śliwiński odprawi mszę połową w Gdyni-Kolibkach, w miejscu, gdzie przebiegała granica między Polską i Wolnym Miastem Gdańsk. Początek uroczystości o godz. 18.

Gdzie jest nasz majątek?

Na zlecenie TZR NSZZ „S” Gdańsk poszukują maszyn do pisania, maszyn drukarskich, sprzętu telewizyjnego, magnetowidów, magnetofonów, powielaczy, a także mebli i innych przedmiotów, które stanowiły majątek gdańskiej „Solidarności” w latach 1980-81, a które są niezbędne w pracy związku; obecnie NSZZ „S” cierpi na ich brak.

Poszukują także książek, dokumentów, kaset, prasy związkowej naszego regionu, plakatów i innych pamiątek stanowiących teraz wartość historyczną.

Musimy, o ile to możliwe, spowodować, by Związkowi zwrócono jego majątek i wyposażenie techniczne, a także wspólnymi siłami odbudować zniszczone archiwum.

Cenna będzie każda informacja telefoniczna, pisemna, złożona osobiście lub przez delegata na plenum i w TZR — Gdańsk, Wały Piastowskie 24. Dyżur w p. 129 przy telefonie nr 384-352 pełnić będą w poniedziałek na 3 godziny przed zebraniem plenarnym TZR NSZZ „S” oraz w czwartki w godz. 12.00-14.00. Tu można też przynosić dokumenty archiwalne.

Alicja Hołdun

Wyłom

7 sierpnia w Gdańsku proklamowano strajk ostrzegawczy. Zanim jednak do tego doszło, był czas na konsultacje w zakładach pracy. W czwartek 3 sierpnia zebrała się Komisja Zakładowa „Solidarności” w Stoczni Gdańskiej, aby rozważyć propozycję strajku. Powszechny był pogląd, że nie należy do niego przystępować głównie dlatego, aby nie zniweczyć szansy, jaka przed skazaną na likwidację stoczną się otworzyła. Przyjęte stanowisko na „nie” zaprezentowali na plenum Tymczasowego Zarządu Regionu przedstawiciele stoczni. Spokładali się za strajkiem. Szczególnie reprezentanci mniejszych zakładów okazali się nieczuli na wszelką argumentację.

Jest problem małych zakładów, które same nie są w stanie niczego wywalczyć — próbował usprawiedliwić ich reakcję członek TZR Edward Szwajkiewicz na kolejnym spotkaniu stoczniowej Komisji Zakładowej. — Dlatego zdecydowaliśmy się na jednogodzinny strajk ostrzegawczy w całym regionie gdańskim, aby wesprzeć małe zakłady. Jednocześnie chcieliśmy powstrzymać falę pojedynczych strajków i przenieść na wyższy szczebel te sprawy, o których mówi się w zakładach, a które wymagają ogólnego uregulowania.

Czwartkowe zebrania stoczniowej Komisji Zakładowej odbywały się w budynku BHP, w małej sali. Tym razem (3 sierpnia) obradowano w dużej, pamiętnej z wielkiego strajku sierpniowego i podpisanych tu porozumień gdańskich. Mała była zajęta. Pracowali w niej eksperci pani Barbary Piaseckiej-Johnson. Elegancy panowie: białe koszule, ciemne krawaty i ciemne spodnie. Na stołach termosy z kawą, papiery, maszyny liczące. Byli to eksperci z londyńskiej firmy Anderson, ściągnięci przez potencjalną współwłaścicielkę stoczni, badający kształtowanie się kosztów budowy statków w przekroju historycznym. Tego samego dnia przyjechali do Gdańska kolejni eksperci z Londynu — tym razem okrętowcy.

Przewodniczący stoczniowej „Solidarności” Alojzy Szablewski powiedział mi przed zebraniem, że pani Piasecka, która znów była w stoczni w pierwszych dniach sierpnia, zaniepokoiła się możliwością strajku w tym zakładzie. Jest wielką zwolenniczką „Solidarności”, wypowiadała się nieraz, że wystąpiła z propozycją utworzenia spółki z poważnym udziałem jej własnego kapitału, aby uratować kolebkę „Solidarności”, ale w biznesie nie sentymenty decydują. Do Polski ma przybyć grupa senatorów amerykańskich, aby zorientować się, czy pani Piasecka robi dobry interes. Gdyby opinia była negatywna, mogłaby mieć trudności z wywozem tak znacznego kapitału, jaki zadeklarowała. W prasie amerykańskiej pojawiły się artykuły, w których nazwano ją „szaloną Polką”. Nie dość, że pakuje się w przemysł okrętowy, w którym dość trudno o zysk, to jeszcze wchodzi w zakład, który często strajkuje. Kolejny strajk, nawet tylko solidarnościowy, byłby potwierdzeniem tych obaw.

Inżynier Jan Szyć, który z upoważnienia Komisji Zakładowej na bieżąco śledzi prace związane z utworzeniem spółki z udziałem kapitału pani Piaseckiej-Johnson, uzupełnia, że zapowiedź nieprzystąpienia do strajku poczytano stoczniovcom za egoizm. Tymczasem jeśli uda się stworzyć tę spółkę i jeśli, w co wierzy, będzie ona osiągać zyski, przyciągnie to do Polski inny kapitał zagraniczny. Przegrana Stoczni Gdańskiej byłaby przegrana kraju, który takiego kapitału bardzo potrzebuje.

Wczoraj z kolegą Szyćem siedzieliśmy w tej sali. Przedstawiano sytuację ekonomiczną stoczni. Możemy jeszcze dychać do 1 stycznia, ale dalej już ani dnia. W obecnej sytuacji zorganizować strajk to żadna trudność. Wyjdzie nam, ale potem powiedzą, że byliśmy głupcami: mieliśmy taką szansę i straciliśmy ją. Myślimy zawsze wspierać innych. W maju ubiegłego roku (choć było

nam bardzo ciężko) — hutników, w sierpniu — górników. Ten jeden raz nie można nas zwolnić? — zapytał retorycznie inż. Szablewski na zebraniu.

Podniosły się też głosy bardziej stanowcze.

— Mamy się usprawiedliwiać? Nie musimy czuć się winni. Jesteśmy tym zakładem, który zawsze plecy nastawiał — uniósł się jeden z delegatów wydziałowych.

— Gdzie byli ci, którzy teraz zarzucają nam wyłamanie się, gdy w maju ubiegłego roku zostaliśmy sami, zupełnie sami?

Na to stwierdzenie zareagował Roman Gałęzowski, który i w maju, i w sierpniu był w komitetach strajkowych:

— Często wracamy do tamtego osamotnienia. Nie zapominajmy, że byli z nami studenci, osoby ze środowisk naukowych. Popierali nas, pomagali nam. Akurat w tej chwili nie bierzemy czynnego udziału w strajku, bo taka jest nasza sytuacja, a nie dlatego, że chcemy się „odwdziżyć” za brak poparcia w zeszłym roku.

— Wychodzą komunikaty z Regionu, dlaczego nie ma w nich słowa, że nas rozumieją? — upomniał się inny delegat wydziałowy.

Szwajkiewicz wyjaśnił, że miało być tak: Stocznia wypowiedziała się przeciw strajkowi, ale — przegłosowana — powinna powiedzieć, że trudno, w tej sytuacji przyłącza się. Wówczas przewodniczący TZR podziękowałby za solidarną postawę i ... zwolniłby Stocznia Gdańską ze strajku. Niestety, pewne ruchy zostały zrobione za szybko. Przewodniczący TZR Bogdan Borusewicz wybierał się na zebranie prezydium Komisji Zakładowej Stoczni Gdańskiej w środę 9 sierpnia. Tymczasem we wtorek w głównym wydaniu dziennika telewizyjnego wystąpili przedstawiciele stoczniowej „Solidarności”, oznajmiając, że Stocznia Gdańska do strajku nie przystąpi. — Delegat z K-3 zwrócił uwagę, że ludzie są podekscytowani ostatnimi podwyżkami i trudnościami. Opinie były takie, żeby nie przystępować do strajku, większość tak uważała, ale kto zaręczy, że jutro nie zachowają się inaczej. Co zrobimy, gdy grupa, powiedzmy 50 osób pojawi się na moście i pomaszeruje w kierunku bramy? Będziemy się odcinać? Zatrzymywać siłą?

Na te wątpliwości odpowiedział przewodniczący Szablewski:

— Nie jesteśmy policjantami. Nie mamy też monopolu na organizowanie protestów. My tym razem nie organizujemy, a jeśli zrobi to kto inny, nie mamy na to wpływu.

— Powinny być flagi — podpowiedział ktoś. Wywieszenie flag nie jest przecież równoznaczne z tym, że strajkujemy, ale że popieramy...

Zarządzono głosowanie. 6 osób wstrzymało się, a pozostali — 28 osób — było za umieszczeniem flag na bramach.

Gdy po szóstej wieczorem członkowie Komisji Zakładowej opuszczali dużą salę, w małej wciąż pracowali eksperci pani Piaseckiej-Johnson.

Nazajutrz o dwunastej na wszystkich bramach wywieszono flagi. Wisiały przez godzinę. Tyle, ile trwał strajk ostrzegawczy w innych zakładach. Żadna grupa nie uformowała pochodu, nie zebrała się przed bramami. Pełna dyscyplina.

— Wywalczyliśmy „Solidarność” przez strajki, bo nie było innego sposobu; teraz możemy walczyć na drodze parlamentarnej — utrzymuje Alojzy Szablewski. — Także w innych zakładach możliwe jest prowadzenie walki nowymi metodami. Mówię to na podstawie naszych doświadczeń. Od sierpnia 1988 roku nie było u nas strajków. Uzyskaliśmy podwyżki drogą negocjacji. Nie należy szermować bronią ostateczną, gdy jest wiele pośrednich możliwości.

Mimo że w końcu stoczniovcy poparli strajk ostrzegawczy — co prawda, biernie, ale poparli — żal ze strony małych zakładów pozostał. Zabrakło lokomotywy.

Edmund Szczesiak



Fot. Maciej Kostun

W niedzielę 20 bm. odbył się III Bieg „Solidarności” Sierpień '80 — na trasie od Pomnika Poległych Stoczniovców do Krzyża przy Urzędzie Miejskim w Gdyni. Uczestniczyło ok. 500 osób, w tym niepełnosprawni. Wśród kobiet zwyciężyła Krystyna Chmarzyńska przed Iriną Hulanicką (ZSRR) i Anną Kapuścińską. Spośród mężczyzn pierwszy minął metę jadący na wózku inwalidzkim Krzysztof Głab. Kolejne miejsca zajęli: Paweł Małkowski, Andrzej Kaniak, Ryszard Marczak i Wojciech Radkowski.

WIEDZWIĘDZ JUŻ NIE ŚPI



Fot. APN
Korbiejników

W utrwalonym przez lata propagandowym stereotypie Związek Radziecki stanowił model radosnej i twórczej koegzystencji ludów i narodów, zgodnie i szczęśliwie budujących wzorcową przyszłość. Nikt nie strajkował, wszyscy — uśmiechnięci i zadowoleni — zastanawiali się tylko, jak by tu jeszcze lepiej, jeszcze szybciej, jeszcze więcej... Nie kwestionowano systemu — jakąkolwiek krytykę inspirowała wyłącznie troska o udoskonalenie struktur. Fragmentaryczne informacje o sprzeczności z rzadką i z trudem przebijają się w świat.

Dziś zdziwić mogłaby wiadomość, że w ZSRR nikt nie strajkuje, a w republikach panuje spokój. Lipiec i sierpień to okres szczególnego nagromadzenia protestów. Ich szczytowe natężenie rozkłada się falowo: nie występują jednocześnie, lecz gdy jedno ognisko zapalne wygasa, pojawiają się następne.

Przywykliśmy już jakby do istnienia sporów na tle narodowościowym. Mają one charakter postępujący — załatwienie, zwykle częściowe, jednej grupy spraw nie wstrzymuje bowiem procesu. Stawiane są kolejne żądania, których wspólnym mianownikiem jest uzyskanie przez republiki, zwłaszcza nadbałtyckie, ale także i przez Gruzję, samodzielności tak pełnej, jak niepodległość. Dążeniom tym towarzyszą różnorodne wydarzenia, np. w Estonii rdzenni Rosjanie, zatrudnieni przede wszystkim w przemyśle okrętowym, zastrajkowali, domagając się tych samych praw wyborczych, co ludność miejscowa. Warto tu odnoto-

wać reakcję władz centralnych na starania republik o większą niezależność ekonomiczną. Wicepremier ZSRR Leonid Ałałkin stwierdził, że regionalna autonomia gospodarcza jest składową częścią pierestrojki.

Wydaje się, że hasłem „pierestrojka” można czasami wytłumaczyć i załagodzić konflikty przybierające zbyt ostry i niebezpieczny charakter. Tak było w przypadku strajku górników w wielkich zagłębiach węglowych — donieckim i kuźnieckim, a także w Workucie. Zawarte wśród postulatów ekonomicznych żądania prawa do samodzielnego dysponowania częścią wyprodukowanego towaru, prawa załogi do określania formy gospodarowania lub też charakteru własności środków produkcji i wreszcie prawa do sprzedaży węgla po cenach umownych, uznane zostało przez Gorbaczowa za zgodne z ideą pierestrojki. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, strajkujący górnicy znaleźli się nagle w awangardzie przemian, a całe odium zła przypisane zostało biurokratom.

Nie można jednak zapominać i wycisnąć faktu, że ten protest zrodził się głównie na gruncie istniejących od lat fatalnych warunków bytowych. W czasie strajku górnicy zaprosili do swoich domów ekipę zachodniemieckiej telewizji. Nakręcony film pokazuje na każdym pięttrze długi, ciemny korytarz, ubogie mieszkania i jedną, wspólną dla wszystkich rodzin, ubikację. Braki w zaopatrzeniu, mimo systemu kartkowego, do-

pełniają obrazu. Nie lepsze są warunki pracowników przemysłu metalurgicznego; tam radzieccy publicyści dostrzegają teraz kolejne ognisko zapalne.

Szukając bodźców do zwiększenia produkcji żywności, władze zdecydowały, że kołchozy — za ponadplanowe dostawy — otrzymają zapłatę w dolarach, zaoszczędzonych w ten sposób na zmniejszonym zakupie zboża za granicą. Dolar, niedysyjszy symbol zachodniego rozkładu, zyskuje w warunkach pustego żołądka pełnię praw obywatelskich. W Polsce oswoiliśmy się z nim już wcześniej. Teraz przodujemy z urynkowaniem, pełniąc rolę laboratorium doświadczalnego. Oby nie pirotechnicznego.

Mieczysław Sokołowski

P.S. Historia to smaczny przekładaniec. Komentator ekonomiczny Agencji Prasowej Nowosti, dzięki uprzejmości której możemy opublikować zdjęcia ze strajku górników w Międzyrezeńsku, napisał w przekazanej redakcji „TG” artykule: „Niekiedy przyrównuje się ich działania do działalności «Solidarności». Cóż, istnieją takie bezpośrednie analogie. Przejawiają się chociażby w tym, że komitety strajkowe, nie dopuszczając do prowokacji, wprowadziły w istocie «szytywne prawo», biorąc na swoje barki przestrzeganie porządku społecznego. I jeszcze pod jednym względem: tak, jak wówczas z «Solidarnością», od razu opublikowano bilans strat powstałych w gospodarce narodowej w wyniku przerwania pracy, dając też rozsądne wytłumaczenie”.



Polubić telewizję...

ciąg dalszy ze str. B

bukiety. Adam się dziwi: to telewizja czy kapliczka? Alina pyta: skąd ty to bierzesz? Okazuje się, że otrzymuje od różnych ludzi w dowód uznania.

Moim faworytem jest kandydat na posła Krzysztof Bielecki. Znam go i lubię za poczucie humoru i miły sposób bycia. Bielecki jest liberałem. Środowisko liberalne w Gdańsku w stanie wojennym wślawiło się tym, że nie wyciągało ręki po paczki i dary. Nie tylko, że nic nie brało od Związku, ale jeszcze wspierało go materialnie i organizacyjnie. Liberalowie sprzedawali w przejściu podziemnym przy dworcu bułki, malowali kominy, wykonywali prace alpinistyczne na wielkich wysokościach, zarabiali dobrze przez dwa tygodnie w miesiącu, by drugie dwa tygodnie poświęcać pracy w konspiracji i móc ją sfinansować. Wydawali własnym sumptem miesięcznik „Przegląd Polityczny”, jak dziś się ocenia, jedno z najlepszych pism drugiego obiegu. W założonych przez nich spółdzielniach „Doradca” i „Gdańsk” znalazło zatrudnienie wielu ludzi, którzy po wyjściu z obozów i więzień nie mieli z czego żyć ani w co ręce wsadzić. Bielecki wyremontował z kolegą zdezelowaną ciężarówkę i zarabiał na transporcie, a w tym samym czasie był łącznikiem podziemnej Komisji Krajowej, współpracował z Borusewiczem, Lisem i Hallem, organizował „niebezpieczne” spotkania. Pewnego dnia ze zmęczenia zasnął przy kierownicy i wjechał na drzewo. Potem utworzył spółdzielnię ekspercką „Doradca”. Z myślą o przyszłości zaczął przygotowywać kadrę ekspertów ekonomistów, finansistów, prawników dla Związku i stawiających pierwsze kroki spółek, inspirował ruch nowej przedsiębiorczości gospodarczej, która w koncepcji liberalnej jest największą nadzieją na obudzenie ludzkich ambicji i odblokowanie stłamszonej energii, a w efekcie na uzdrowienie gospodarki.

Liberałowie czuli się dziećmi „Solidarności” i nie zapominali o tym, nigdy jednak nie tracąc z oczu swojej zasadniczej wizji, w której dzisiejszy pucybut jutro może być milionerem.

Krzysztof nawiązał kontakt z Bankiem Światowym i stał się szybko jednym z nielicznych, którzy umieją przetłumaczyć pokręconą tajemniczą polską ekonomię na język ekonomiki światowej. Ze względu na tę rzadką specjalność, po decyzji o rozwiązaniu Stoczni stocznicy szukali u niego otuchy, „Doradca” podjął się uratować stocznię poprzez udział kapitału zagranicznego.

Bielecki ma silnego konkurenta, do jego mandatu zgłosił się startujący jako niezależny, popularny w Gdańsku Andrzej Januszajtis. Jak na złość, zdjęcia filmowe niespecjalnie nam się udały. Narada w nocy: pilnie powtórzmy zdjęcia. Telefon do kandydata, jest w Warszawie, będzie rano, żona również. To dobrze. Rodzina, „Doradca”, stocznia. Ale najważniejsza jest matka. Siwa pani, była dziennikarka radiowa, pięknie mówiąca o swoim synu, z którego jest dumna. I o tym wszystkim, co matki, takie jak ona, musiały przez te lata przeżyć.

W gazetach rządowych drobna nagonka. Nie podoba się, że „Solidarność” epatuje więzieniami, a nie pokazuje programów. Tak, jak by program „Solidarności” nie był znany. Nasza odpowiedź ze studia: nam też się nie podoba, że oni siedzieli w więzieniach. Poza tym doświadczenie polskie uczy, że łatwiej o ładny program niż o porządną życiorys.

Konkurencja

Na tym tle koalicja cienko przędzie. Jej dziennikarzom wyraźnie brakuje zapachu.

Jerzy Urban wydaje twarde polecenia — dowiadujemy się o tym od personelu technicznego, który nam sprzyja — kandydaci koalicyjni wypadający na wizji lub fonii źle mają być wycofywani z ekranu, żadnych stękań, jakań, „wicie rozumiecie”. Interwencji komitetów partyjnych nie uwzględniać, w razie czego odsyłać do mnie. A jednak się jakają, lub mówią długo i zawile. Pewien kandydat na posła, z zawodu rzeźnik, wypada jak rzeźnik. Wybucho awantura. Chwilej się krzesła, Radiokomitet mobilizuje do pracy swoje wojsko zaciężne pogrozkami.

Nie będziemy się w to mieszać, robimy swoje. Staramy się też pewnych rzeczy nie zauważać. Od pierwszego dnia jest zacieraana odrębność naszego programu, tamci jakby chcieli podcepić się pod nas. Przejeli melodię „Żeby Polska była Polską”, unikają identyfikacji partyjnej, a także wizualnej. Podobna dekoracja, plansze, napisy. Gdy Alina stawia na naszym stole kwiaty, pan Waldek mówi: bardzo cię przepraszam, Alinko, ale jutro będę musiał także postawić bukiet.

Musimy wyniszczyć codziennie co innego, sami pilnować swojej odrębności. Konkurencja wpływa pozytywnie na jakość. Wiele zawiądzęcamy dobrej współpracy ekip technicznych. Alina, perfekcjonistka, wprawdzie się denerwuje: co oni o nas pomyślą? Wczoraj im powiedziałam, że będą dwie osoby w studio, dziś się okazuje, że cztery. To sprawa oświeślenia. W telewizji, jak świat światem, jak dwadzieścia lat pracowałam jako scenograf, wszystko musi być naprzód ustalone.

— Czas się zmieniają — zauważa sentencjonalnie Janusz.

Stefan Truszczyński, kierownik centralnego programu „Solidarności”, dziwi się: — U mnie takie rzeczy zdejmują. Dajecie czadu.

— Ostro — śmieje się Adam — ale uprzejmie. Prawda, Kasiu?

Jeden z programów zaczynamy migawką filmową z wizyty Lecha Wałęsy w Watykanie. Papież mówi do gdańskiej ekipy filmowej: światło idzie z Gdańska. Pozdrowcie Gdańsk.

Redaktor telewizji wzdycha: i papieża też macie.

Ano mamy.

Oglądają nas nie tylko zwolennicy „Solidarności” i sympatycy. Telefonują też sfrustrowani partyjni, wykładają swoje racje, szczerze intencje. Proszą, żeby przestać mówić o niektórych przykrych sprawach, bo to ich boli.

Dzwoni anonimowy przeciwnik polityczny. Poirytowany głos: — Dlaczego „Solidarność” występuje w gdańskim studiu wyborczym jako pierwsza? — Przy telefonie Alicja Holdun: — Bo takie są ustalenia. — Właśnie chcę ustalić, kto tak głupio ustalił. I co ma do wyborów papież, sralis mazgalis? — Szczęknicie słuchawki. Alicja jest wściekła, że nie zdążyła odpowiedzieć: — Powiedziałabym dziadowi...

— Alicjo, miarkuj się.

Spadek formy

Wiedziałam, że tak będzie. Jak się skończy Gdańsk, możemy zostać z pustymi rękami, nie mamy materiałów do pozostałych województw. Toruń wziął na siebie tamtejszy Komitet Obywatelski, ale dostarczyli filmy mało urozmaicone, wszystko w jednej konwencji, wypowiedź, wywiad, rekomendacja. Z Bydgoszczy są tylko zdjęcia z wiecu wyborczego, w dodatku zablokowane na kamerze, do której nie pasuje montaż. Elbląg kompletnie nie wypalił, trzech kandydaci ustawieni razem wypadają śmiesznie, duży, mały i jeszcze mniejszy, „tańczyły trzy Michały”. Z Olsztyna nie ma nic, a Olsztyn jest daleko.

Trzeba mieć poczucie odpowiedzialności, jednak dużo zależy od nas. Przekonaliśmy się o tym przy prezentacjach gdańskich, gdzie każda miała

dokonczenie na str. 14

Pomieszczenie z popłataniem

O jaką gospodarkę walczy opozycja w Polsce? Najkrócej można na to pytanie odpowiedzieć, że o normalną. Tzn. taką, w której prawa ekonomiczne nie są ignorowane, a polityka nie dominuje nad ekonomią.

Czy chcielibyśmy mieć taką gospodarkę? Jasne — i to jak najprędzej. Słusznie więc tropimy i piętnujemy wszelkie działania i decyzje rządowe, które nie przybliżają nas do owej gospodarczej normalności. Wytykamy rządowi ślamazarne tempo reform, niekonsekwencje, liczne próby nawrotów do administracyjnego sterowania gospodarką, ograniczanie samodzielności i samorządności przedsiębiorstw itp. A jednocześnie... z taką samą energią walczymy o indeksację.

Widzę w tym sprzeczność. Indeksacja nie przybliży nas bowiem ani o krok do gospodarki rynkowej, opartej na twardych, obiektywnych prawach ekonomicznych. Jest formą odgórnego ingerencji w działalność przedsiębiorstw i pod tym względem nie różni się w istocie od zamrożenia płac.

W lipcu nie wolno było podwyższać wynagrodzeń, od sierpnia nie wolno nie podwyższać. Ja wiem, że indeksacja nie ma formalnie obligatoryjnego charakteru, ale chciałbym zobaczyć taką załogę, która zgodzi się zrezygnować z tej możliwości podwyższenia płac. I nie znajdzie się też zapewne wielu dyrektorów, którzy będą mieli odwagę powiedzieć swoim pracownikom, że ich zakład nie stać na indeksację. Sejm uchwalił ustawę — powiedzą załogi — uznał, że wszystkim należą się podwyżki z tytułu rekompensaty za wzrost cen, a więc pieniądze muszą się na to znaleźć. Gdzie? — nie nasza sprawa.

Takie sytuacje są nie do uniknięcia. Skoro zatem ktoś twierdzi, iż zamrożenie było ograniczeniem samodzielności przedsiębiorstw, to musi to samo powiedzieć o indeksacji. Czy cel indeksacji jest bardziej szlachetny niż zamrożenia? Być może, choć odnoszę wrażenie, że niestety tylko pozornie. W obu tych przedsięwzięciach chodzi o uzyskanie czasu i chwilowe chociaż złagodzenie skutków inflacji. Dopóki ludzie nie zorientują się, w pierwszym przypadku — że zamrożenie płac (i cen) nie hamuje wcale spadku dochodów realnych (bo w sklepach i tak coraz mniej towarów); w drugim zaś — że większa ilość banknotów w kieszeni nie oznacza większych szans zakupu (bo ceny rosną coraz szybciej, a towarów też nie przybywa). Zarówno zamrożenie, jak indeksacja osłabiają motywację do pracy i burzą wzrost efektywności przedsiębiorstw.

Właśnie — co się dzieje z efektywnością przedsiębiorstw? Przy zamrożeniu płac i cen nie ma prawie żadnego manewru (mogącego podnieść rzeczywistą efektywność, bo sposobów omińnięcia zamrożenia są dziesiątki). Indeksacja zaś zwiększa koszty produkcji. Przedsiębiorstwa mają, w zależności od sytuacji, dwa wyjścia. Jeśli ceny ich wyrobów dyktowane są przez wytwórców, to ten wzrost kosztów przerzucany będzie za pośrednictwem cen na nabywców. Da to wówczas podstawy do dalszego indeksacyjnego wzrostu dochodów. Jeśli natomiast producent nie może dyktować cen, to wzrost kosztów produkcji, wynikający z indeksacji, obniży mu zysk, osłabiając zdolność rozwojową i hamując w konsekwencji wzrost produkcji. I tak źle — i tak niedobrze.

Wprowadzenie indeksacji jest, w naszej obecnej sytuacji gospodarczej, wielką mistyfikacją. Zwróćmy bowiem uwagę na dwa jej aspekty. Pierwszy związany jest ze źródłem jej finansowania. W jednostkach samofinansujących się mają to być środki własne tych jednostek. Sejm podejmując ustawę w tej sprawie uchylił się więc od bezpośredniej odpowiedzialności za znalezienie pieniędzy na pokrycie kosztów wzrostu płac. Doskonale wiem, że budżet nie wytrzymałby sfinansowania indeksacji, ale też tylko wtedy, gdyby właśnie on przejął na siebie ten ciężar, mógłbym zrozumieć sens tej operacji.

Teoretycznie można by przeznaczyć na ten cel środki z likwidowanych dotacji i dopłat. Jeśli praktycznie było to niemożliwe, to załatwienie sprawy w stylu: „pozwalamy wam więcej zarobić, ale zapłaćcie sobie sami i to koniecznie po równo” uznać trzeba za wątpliwą łaskę. W tej sytuacji naprawdę było lepiej — wbrew temu co mówił poseł J. Osiatyński, ekonomista, którego bardzo cenię — podwyższyć przedsiębiorstwom próg wynagrodzeń wolny od podatku dochodowego. Bo albo wierzymy, że tam właśnie najlepiej wiedzą, jak dzielić wygospodarowane przez siebie środki, albo przyznajemy, że samorządy pracownicze są nieodpowiedzialne i trzeba nadal decydować za nie na górze. Jeśli posłowie nie chcą być mądrzejsi od poszczególnych przedsiębiorstw, to powinni pozostawić im podział pieniędzy, które mogą wydać na wzrost płac. Choć w tym należałoby im zaufać. A indeksację w przyjętym kształcie trzeba było ograniczyć do sfery budżetowej i świadczeń.

Drugi aspekt tej mistyfikacji związany jest z istotą dochodów realnych.

Te dochody to, najkrócej mówiąc, suma towarów i usług, które każdy może nabyć za tę ilość pieniędzy, jaką otrzymuje w postaci płacy, renty, emerytury, czy innych dochodów nominalnych. Otóż w gospodarce takiej jak nasza, gdzie popyt przeważa nad podażą, o sumie dochodów realnych społeczeństwa nie decyduje relacja pomiędzy sumą dochodów nominalnych a poziomem cen na rynku. Gdyby tak było, indeksacja dawałaby szansę ochrony poziomu dochodów realnych. Ale gdy popyt jest wyższy od podaży, suma dochodów realnych wyznaczona jest przez podaż, tzn. przez ilość towarów i usług, które są na rynku dostępne. A więc jeśli chcemy zwiększyć dochody realne, to musimy zwiększyć podaż. Indeksacja oczywiście się do tego nie przyczyni, natomiast przez swe antymotywacyjne działanie może prowadzić do spadku podaży. Nie ochroni się poziomu dochodów realnych obywateli poprzez danie im do ręki dodatkowej ilości banknotów — ochronić go mogą tylko dostawy na rynek.

Wprowadzając zamrożenie płac i cen, autorzy takiej operacji byli przekonani o jej skuteczności, wierząc, że zamrożenia nie uda się nikomu obejść. Jest to przekonanie złudne, a dowodami na to są liczne doświadczenia różnych krajów. Podobnie zwolennicy indeksacji wierzą, że indeksacja „cywilizuje” wzrost płac, eliminując żywiołowy nacisk na ich wzrost. Wiara ta, jak każda inna, nie wymaga racjonalnych przesłanek. Jeśli jednak okaże się wiara fałszywą, to jedyny ekonomiczny argument przemawiający na rzecz indeksacji legnie w gruzach. A jest to wysoce prawdopodobne, gdyż Sejm, wybierając wariant indeksacji powszechnej, wskazał jednocześnie załogom sposób postępowania. Kto wywalczy dla siebie jak największe podwyżki (a robią to ci, którzy są silni) ten zyskuje, bo dodatkowo korzysta z podwyżek indeksacyjnych w takim samym stopniu jak ci, którzy siedzą cicho. Posłowie głosujący za tą wersją przestraszyli się pracowników wielkich zakładów, tak jak wielokrotnie przedtem bał się ich rząd i partia.

Argumentem, trudnym do odrzucenia, przemawiającym za indeksacją pozostaje w istocie tylko argument polityczny — indeksację uzgodniono przy „okrągłym stole”. A swoją drogą, kto ją do tego stołu przyniósł? W każdym razie na odrzucenie prymatu polityki nad gospodarką przyjdzie nam jeszcze poczekać.

Piotr Dominiak

PRZEJŚCIE

P przed szlabanem ponad sto samochodów ze znakiem PL. Wciąż przybywają nowe, ale nie ubywa oczekujących. Pod ogromną i rześkie oświetloną wiatą do kontroli granicznej pojazdów i bagażu nic się nie dzieje. Wysiadam z auta, podchodzę do przodu i wypytuję stojących najbliżej i najdłużej. Twierdzą, że bracia Czesi odprawiają około dziesięciu samochodów na godzinę, co dla stojących na końcu długiego węża oznacza dziesięć godzin czekania. — Tak jest od czwartku — mówi nasz wopista, wartownik — i my nic na to nie możemy poradzić. Mają polecenie z góry, pewno za wizytę tych z „Solidarności” w Pradze... W autach są kobiety i dzieci: marzną, bo mrok już zapadł i chwycił górski ziąb, męczą się, bo nie tu nie ma ani do picia, ani do jedzenia. Co chwila jakaś mama prowadzi dziecko w potrzebą w gęstą trawę i chwasty, gdyż odcinek drogi przed przejściem granicznym w Nachodzie, w Karkonoszach — choć iluminowany lampami sodowymi — znajduje się w szczerym polu.

Jest noc z soboty 5 sierpnia na niedzielę i wiadomo, że nikt nie wraca z handlowego wypadu do bratniej republiki. W Czechosłowacji praktycznie życie zamiera w piątek po południu, kiedy kto żyw udaje się do chaty za miastem. Sklepy bez wyjątku są zamknięte; Praga, wielka metropolia, wygląda jak wymarła. Nasi trafili do Nachodu tranzytem z Austrii, Szwajcarii, Włoch — i spieszą im do domu. Muszą czekać. Narasta stres, niechęć do sąsiadów.

Uczucie bezsilnego upokorzenia dominuje nad zmęczeniem. Szykany wymierzono przeciw Polakom „jako takim”. Nikt z zagradzających powrót do kraju nie pyta, czy popieramy „Solidarność”, czy neozwiązki i koalicję z przodującą partią na czele. Spod tej zbiorowej represji nie wyłączono kobiet i dzieci, a dzieje się to nie na równoleżniku rozgraniczającym Koreę Północną od Południowej, nie na pływającym pograniczu Libanu i Izraela ani też między Irakiem i Iranem — lecz w Europie Środkowej, na styku dwóch programowo zaprzyjaźnionych i sojuszniczych państw.

Już w niedzielę wtaczamy się na podjazd. — Szibko pas — z polska po czesku zagaduje celnik, a może pogranicznik, pozorując zaafetowane

zapracowanie. Zebrał całe naręcze paszportów i znikł. Oddał je po trzech godzinach, o piątej rano, niczego nie kontrolując.

Wielu pewno planowało nocleg w Kudowej lub Dusznikach, ale o tej porze nie warto się dobijać do zajazdów czy schronisk. Pozostała jazda, dość ryzykowna, na krawędzi nocy i dnia, po serpentynach górskich w dół, w poszukiwaniu parkingu.

Już zrelaksowany, gdzieś pod Jarocinem, widzę w lusterku daihatsu z czechosłowacką rejestracją, usiłującą wyprzedzić naszą stareńką zastawę. — Tu się zgina dziub pingwina — usmiecham się złośliwie, zjeżdżając nieco w lewo i blokując pobratymcom manewr. Trąbią błyskają światłami. — To za Nachod — powtarzam mściwie. Czech jakby się przyczaił i nieco odpadł. Ale ja oprzytomniałem i pukam się w myśli w głowę: to nie Czesi nas represjonują ani nie Słowacy, lecz przerażony zbliżającym się końcem, okopany w bunkrze i wciąż jeszcze wszechwładny System!

J.C.

NOTATNIK SALZBURSKI

Mamy na liczniku z Gdańska 1079 km. Po drodze odnotowałem zdumienie austriackiego celnika, gdy na wydrukowanej dla Polaków deklaracji nie zgłosiliśmy wódki, papierosów, kawioru, kryształów, futer i „innych przedmiotów, które Pan/Pani zamierza pozostawić w Austrii...” Przed nami stał maluch z Wrocławia, młoda para próbowała wyjaśnić po polsku, że wiezie pudełko na igły i nici. Istna pantomima! — Dokąd jedziecie? — pyta celnik. — Do Australii! — Tym autem? — Do Szwajcarii! — mówi żona. — Drewno — wyjaśnia mi wrocławianin na stronie — ma na Zachodzie wysokie przebiecie przeliczeniowe.

W Salzburgu mieszkamy w „Vinzentinum” przy Ulicy Niedzwiedków 6. Ten internat w czasie ferii funkcjonuje jako hotel. Pokoje wieloosobowe. Ciekawostka: pracę dyrektora, recepcjonisty do 22-giej, dozorcę posesji i kelnera wydającego śniadania, niestety po austriacku chude, wykonuje od 33 lat O. Harald z Zgromadzenia Marianistów. Śniadanie czeka od 7.15, a o 6.30 pater Harald, ksiądz katolicki, w kaplicy internatu odprawia mszę. Człowiek-kombajn sprawia, że „Vinzentinum” przynosi zgromadzeniu niezły dochód.

Wieczór w „Sternbräu”, renomowanej piwiarni. Zakonnica w habicie pochylona nad kufem — to nikogo nie dziwi. Doktor F. z Bonn, mój fundator na ten wieczór, snuje opowieści z wojny. — Zna pan Suwałki? — pyta. Stamtąd po świtanie 22 czerwca 1941 roku ruszył na ZSRR, potem jako piechur maszerował po bezdrożach Białorusi. Tenże F., w kolejnym tekście już jako dowódca kompanii, cofnął się spod Le Havre. — Co mnie obchodziła ta wasza zaszara wojna, ja jestem polskim sierżantem — miał wyznać wtedy jeden z podkomendnych, lecz on, widząc już załamanie Rzeszy, zaczął mi w ostrych tonach wyrażać i nie gadać głupstw. Kto chce — niech wierzy.

Panna Bailer z Baden-Baden, lat 19, studentka, mocno zaangażowana w katolickim ruchu młodzieżowym w RFN, boi się, czy w Polsce nie spotkają jej przykrości i afronty, czynione czasem Niemcom w Grecji. Inż. Danielczyk, rodem Niemiec z Bielska-Białej, uciekinier stamtąd, gdy „Bielitz” stało się ponownie polskie, wtrąca się w rozmowę. Pan D. jeździ do Bielska i Krakowa, a także do Poznania na targi dwa razy w roku, wizytuje przy okazji swych polskich krewnych, i czuje się zawsze jak w domu. Dowiaduję się od niego, że niejaki Wiesner z Bielska, były polski senator i pod tą przykrywką lokalny wódz bielskiej NSDAP, umarł w RFN pod przybranym z obawy przed Polakami nazwiskiem.

Co dzień przechodzę obok wielkiego autobusu z herbem Austrii na masce. Czarny orzeł z białą-czerwoną tarczą na piersi trzyma w szponach młot i sierp. Na łapach ptaka widać zerwane kajdany; i ta symbolika ma przypominać wyzwolenie kraju w 1955 roku spod okupacji i ogłoszenie neutralności. W środku pojazdu zbiera się podpisy protestujące przeciw zmianie tablic rejestracyjnych samochodów, obecnie czarnych, na białe, jak w RFN. — Chcemy pozostać Austriakami — tłumaczy mi młody człowiek w czerni, pod krawatem — i zachować naszą tożsamość! Akcją kieruje malarz Friedensreich Hundertwasser, zebrano już 360 tys. podpisów. — Chce pan nas poprzeć? — Podpisuję deklarację imieniem, nazwiskiem i adresem: Łąkowa 6 m. 3, Gdańsk, za co dostaję zaprojektowaną przez mistrza Hundertwassera nalepkę z napisem „Austriacka droga — korona dla Hundertwassera!”.

Polak zanurzony w świecie Zachodu traci tyle na pewności siebie, ile waga atrybuty współczesności, będące tutaj w posiadaniu przeciętnego obywatela: samochód dobrej marki, najwyżej trzyletni, Eurocheck w portfelu i pokrycie na koncie w banku. Obwąchujemy z daleka, nieufni jak sarny podchodzące zimą do pańnika, ogół

nie dostępne zdobycze cywilizacji: zawsze sprawne automaty telefoniczne i inne, taksówki na zawołanie o każdej porze i sterylne czyste gabinety westchnień. Tylko bardzo młodzi, o nie zatraconym instynkcie adaptacji, nie mają kompleksów. Sekret tkwi w pieniądzu, a nie w niepoznawalności świata, bo skądinąd Japończycy czują się tu jak w domu.

Na Mönchsberg trafiam na polską grupę z wyjazdu starszoharcerską, pod plecakami. Widok sprawiają zaniedbany, wyszarzały; informacje turystyczne wypisane na tarczy u szczytu góry docierają do nich niepełne, wskutek słabej znajomości języka. Dwie starsze panie stoją na zatłoczonej turystami Getreidegasse: — Teraz zaraz czy potem zaraz? — dobiega mego ucha. Dalej piętnastka studentów obojga płci z KUL, prywatnych stypendystów księżnej Iriny von Wittgenstein. Jest coś, co nas wyróżnia w najgęstszym tłumie: antropologiczne cechy, dieta chlebowo-kartoflana zamiast orangejuice'ów i jaj na bekonie czy ubranie z PSS? A może świadomość inności, która, gdy kieszki pusta, zamienia się w niższość?

Szczyt Gaisberg w Alpach. Stacja przekąznikowa, w nośnym powietrzu krąży lotniarze, pierwszy pogodny dzień od tygodnia. Profesor Albert Esser z Bonn, pedagog, lat 40, na wysokości 1288 m chętnie podejmuje rozmowę o naszych granicach. Nawiązuję do listów czytelników do redakcji katolickiego „Rheinischer Merkur”, z których, a zwłaszcza z listu Herberta Hupki, wręcz jednoznacznie wynika aproba dla wypowiedzi ministra Waigla. Trudno udawać, że nie ma problemu — czyżby musieli najpierw wymrzeć wszyscy kiedyś wysiedleni? I kto ma na sumieniu pierwsze wysiedlenia, te z Wielkopolski, przemianowane na Warthegeu? Pan Esser zapewnia, że młodsze pokolenia Niemców mają do kwestii granic stosunek zgoła inny, pozytywny, i zaprasza nad Fuschlsee na pojeźdnawczą kawę.

320 lat temu, 16 lipca 1669, na Salzburg runęła skalista góra, zabijając 220 ludzi, burząc dwa kościoły, seminarium i 13 domów. Domy w Salzburgu są przylepione do skał niczym jaskółcze gniazda; niektóre liczą po kilkaset lat, ale wyglądają, na zewnętrz i od wewnątrz, jak nowe. Powstał zawód czyszciciela skał — po każdej zimie opuszczają się tacy na linach i obklepują lód, zwierzają kamień, by katastrofa nigdy się nie powtórzyła. Przykład współżycia z naturą!

W fontannie parku Mirabell wiadać w przeczystej wodzie pieniążki wrzucone przez turystów. Dwaj młodzi siedzą na ziemi; jeden, oparty o ocembrowanie, za plecami po omacku zapuszcza rękę w wodę. Spotykamy się wzrokiem. — Poczekał, aż facet sobie pójdzie — mówi doń drugi językiem Kochanowskiego.

Jest początek sierpnia i pan Mikołaj, współtowarzysz podróży, dziwi się, iż wiadomość w wyłożonych w jadali „Vinzentinum” gazetach o proponowanym premierostwie generała Kiszczaka nie jest tematem śniadaniowych rozmów. Ale cóż w końcu Niemców czy Austriaków obchodzi, kto zostanie u nas premierem, a kto — powiedzmy — prezydentem. W Republice Mali? Krążymy po innych, może dzięki Bogu nie przecinających się orbitach; poza tym, każdy naród tak naprawdę lubi tylko siebie. Jedynie nienawiść narodu do narodu bywa, niestety, autentyczna.

Mądry rabin Leo Trepp, w auli uniwersytetu, ma dla uczestników Salzburških Tygodni Szkół Wyższych prelekcje na temat krzywdy, poczucia winy i pojednania. Prawie tysiąc ludzi, a cisza jak makiem zasiał. W Auschwitz, mówi rabin, Niemcy powiesili dziesięcioletniego chłopca i cały obóz na apelu musiał być przy egzekucji. — Gdzie jest Bóg? — ktoś zapytał. — Bóg wisi na tej szubienicy — brzmiała odpowiedź. Po wykładzie rabin Trepp zapala cienkie cygaro i z lubością inaluje płuća dymem. Proponuje mi, bym go w przyszłym roku

odwiedził w Moguncji. — A co będzie miało miejsce w Moguncji? — pytam po niemiecku. — Jak to co? — profesor Trepp odpowiada pytaniem na pytanie. — Ja będę miał miejsce! Filigranowa, siwiuteńka Mrs. Trepp miała 5 lat, gdy opuszczała rodzinne Katowice. Mieszkaliśmy wtedy w pobliżu, w Wiśle i Ustroniu. *The world is sometimes not so big, isn't it?* — mówi Mrs. Trepp, gdyż do niemieckiego czuje lekką idiosynkrazję.

W „Salzburger Nachrichten” zdjęcie Polaków szturmujących w Warszawie ladę sklepową przed urynkowaniem gospodarki żywnościowej w wykonaniu rządu p. Rakowskiego. „Tysiące rąk, miliony rąk...” — przypomina mi się zetempowski szlagier sprzed lat. Co pomyśli, oglądając to zdjęcie, salzburski kupiec w swoim sklepie pękającym od towaru po konkurencyjnych cenach, za to pustawym, gdy idzie o klientów?

Piszą, że 30 do 50 tys. szylingów płacą azyłanci za fikcyjne małżeństwo z obywatelkami i obywatelami austriackimi. Daje to zezwolenie na stały pobyt i pracę zarobkową, a nikt nie sprawdza, czy małżeństwo naprawdę skonsumowano.

Cesarz Franz Joseph I ma tu nabrzeże swego imienia i ulicę, a w pięknym parku przy pałacu Mirabell jest tablica dziękczynna z racji powrotu Salzburga pod władanie Habsburgów, co stało się w 1817 roku. Tablicę wmurowano na 50-lecie połączenia z koroną, w 1867, i trwa nie zniszczona mimo dwóch wojen światowych, Hitlera i „Anschlusu”, a także obecnego odwrócenia się świata o 180 stopni. Kto z teraz rządzących zapisze się tak trwale i dobrze w pamięci potomnych?

W auli, wypełnionej po brzegi, rozlegają się brawa, gdy pewien psychoterapeuta z brodą zacytował F.J. Straussa, premiera Bawarii. Strauss się oburzał, iż świat wypomina RFN — krajowi, który dokonał takiego skoku gospodarczego — jakieś tam wydarzenie sprzed lat... Do mikrofonu podchodzi pani po 40-ce i wzywa, by się nie grzebać w winach ojców, lecz zająć grzechem zbiorowym obecnego pokolenia — zaniechaniem naturalnego środowiska. Brawa dostaje rzęsiste.

Przypadkowo trafiam na dom KP Austrii, nie opodal dworca, w sąsiedztwie nielicznych tu sex-shopów i tanich sklepów tureckich. Jest bez śladu życia. Na zamkniętych drzwiach ogłoszenie o godzinach urzędowania, wyblakłe do nieczytelności. W gablocie — „Volksstimme”, organ KP Austrii z lubością cytowany, jako opinotwórczy, przez nasz PAP; ale ja od dwóch tygodni nie widziałem, by ktoś „Volksstimme” czytał. W środku jest o Polakach z obozu Traiskirchen, podnajmujących się na czarno za 50\$ na godzinę w pewnej podejrzanej firmie budowlanej. „Volksstimme” jest ostro przeciw, bo to dla Austriaków konkurencja. A w „Salzburger Nachrichten” optyk z Warszawy p. Michalik, obecnie w obozie Thalham, w Attergau, wynurza się reporterowi, że nie wierzy w „pierestrojkę”. Pani Nina, jego żona, wróciłaby do Polski z dwójką dzieci, gdyby w Polsce zapanowała demokracja.

Jak co ranka, podczas śniadania mój sąsiad, bezrobotny prawnik i nauczyciel z Würzburga (RFN), z apetytem zjada dodatkową bułeczkę odstąpioną przez odchudzającą się panią. Przyjechał swoim audi odnowić się cielesnie i duchowo. Ma 1200 DM zasiłku, 200 DM za dwie godziny zleczone w jakiejś szkole. Audi ma ponad 200 tys. km na liczniku i wkrótce zostanie porzucone na jakimś cmenterzu aut, do wypatroszenia przez hobbystów. U nas z tego rzęcha byłaby reprezentacyjna gabłota, w sam raz do wożenia nowożeńców.

„Pchanie rowerów dozwolone” głosi napis na mostku dla pieszych. U nas i gdzie indziej napisano by: „Jazda rowerami surowo wzbroniona.” — Ale to jest Austria.

Grzegorz Kurkiewicz

DZIADÓW Część V

Jedną z cech komunizmu jest dziadostwo. Jest to cecha dobrze widoczna i powszechna. Nie ma na świecie kraju rządzonego przez jedynie słuszną partię komunistyczną, w którym nie zakwitłoby dziadostwo. Wiąże się to z ubóstwem. Ale można przecież godnie i uczciwie żyć i nie być dziadem.

Każdy porządny dziad, godny tego określenia, ma ambicję wyjechać i wydziadować więcej od innego dziada. Najlepiej jego kosztem. Dziad ma też pretensje do wszystkich — daczego mu za mało dają...

Polska z dumnego i zasobnego kraju stała się żebrakiem Europy. Druga Rzeczpospolita była krajem biednym i do pewnego momentu zacofanym, ale dziadem nie była. Słynęła z uczciwości, miała wymieniającą złotówkę, jedną z pewniejszych walut w Europie. O inflacji nie było mowy. Przemysł rozwijał się bez głupich zakupów inwestycyjnych i nawet bezrobotni Szwedzi szukali pracy w Gdyni. Dopiero rządy PZPR doprowadziły Polskę do pełnego dziadostwa.

Komuniści wymyślili, że człowiek bogaty nie może być szanowany. Godny szacunku może być tylko biedak. Ale biedak uczciwy też był przesładowany jako kulak czy drobniomszczańskimi burżuj. Aprobowany przez władze był tylko dziad. Głównym propagatorem ubóstwa był Gomułka. Przekonany o tym, że Polacy chcą być biedni — wymyślał normy ekonomiczne nie uzasadnione i ciągle zmniejszał jałmużnę, czyli płacę. Bunt robotników spowodował, że Gierek zaczął dziadowanie z większym rozmachem. Nabral pożyczek na rozwój przemysłu, a potem „rękami” Systemu je sprzeniewierzył. Częścią tych pożyczek

czek podzielono się też pewnie z innymi dziadami. Po upadku Gierka PRL stała się super-dziadem. Plucie na zachodnich wierzących, szantażowanie, że nie będziemy oddawać, jak oni nie będą grzeczni, dziadowskie paczki z NRD i ZSRR, dawane dzieciom przez różne instytucje i Kościół, też wytwarzały dziadów. Często brał nie ten, kto był ubogi, ale ten, kto miał dziadowski charakter.

A tworzenie OPZZ...? Kto się zapisał pierwszy, dostawał talon na pralkę, lodówkę czy odkurzacz oraz worek maki kukurydzianej z darów, którą zresztą wyrzucał z czasem na śmietnik. Niektóre cwane dziady zapisywały się z czasem do OPZZ, aby móc jechać, pracować, dziadować i handlować w NRD i Czechosłowacji. Wracając, kupowali wideo, w którym mogli obejrzeć gołą babę, co dawało im złudzenie, że nie są dziadami.

Te najpewniejsze dziady natomiast wyjechały za przynależność do PZPR asygnyaty na samochody... Żebranie w PRL zawsze dawało większe korzyści niż praca.

Moją nadzieją na normalną, a nie dziadowską Polskę stał się wybrany 4 czerwca Sejm i Senat. Ale na razie jestem zawiedziony. W związku z demokratyzacją, z Zachodu znów płyną dary: mąka, olej, pomarańcze, jabłka. Rzepaku mamy dość, bez pomarańczy szlag nas chyba nie trafi, a od rodzimych jabłek uginają się gałęzie. Na dodatek Kuba przysłała nam cukier... Koniec świata!

Wawrzyniec Rozenberg
Stocznia Północna



Polubić telewizję...

dokończenie ze str. 12

jakiś klucz i nastrój, i pewną błyskotliwość: Lis — legenda „Solidarności”, w studiu, wiedząc o tym, że Lis jest kawalerem, Kasia powiedziała: I nawet nie miał pan, panie Bogdanie, czasu się ożenić. A przecież trzeba będzie kiedyś to wszystko opowiedzieć dzieciom i wnukom. Życzymy więc nie tylko wyboru do Senatu, ale i dobrej żony. Lech Kaczyński — inteligent, który przychodzi wesprzeć robotników, członek KOR-u, prawnik, ekspert, mózgowe zaplecze strajków, rodzice także inteligenci, AK-owcy. Przypominamy drogi i bezdroża polskiej inteligencji w Polsce Ludowej. Krzyżanowska, lekarz, córka legendarnego dowódcy wileńskiego AK, zamężonego w więzieniu na Mokotowie. Właśnie urodził się jej wnuk, Adam wręcza pani doktor kwiaty: proszę przyjąć nasze najlepsze życzenia dla prawnuka generała „Wilka”-Krzyżanowskiego.

Za wszelką cenę utrzymać ten poziom. Ale jak? Ogranicza nas tempo, czas. Co opowiem wyborcom o pozostałych kandydatach, którzy z pewnością mają w swoich życiorysach równie oryginalne wątki? Adam trzyma się za serce; może zrobimy dwudniową przerwę na zebranie sił i nakręcenie nowych filmów, zrzekniemy się dwu kolejnych programów. Nie; ludzie się przyzwyczaili, niech będzie gorzej, ale codziennie.

Robimy, co możemy, ale Toruń w naszej prezentacji wypada poniżej swoich możliwości. Gdy tymczasem koalicja...

Koalicja pozbierała się z zagubienia. Ekspansja plakatów, pomysłowe slogany, dowcip. W Warszawie budzi wesołość slogan „Łap Urbana”, wymyślony podobno przez samego kandydata na posła z okręgu Warszawa-Śródmieście. W „Trybunie Ludu” ten kandydat ma zwięzłą charakterystykę: katolik. Dowody werwy.

Jednym słowem, mamy kłopoty, także moralne.

Przed nami Bydgoszcz. Co tu zrobić z tą Bydgoszczą? W regionie rozłam, działają dwa legalne komitety obywatelskie. W jednym rej wodzi rekomendowany na senatora Tokarczuk, cieszący się zaufaniem Wałęsy; drugi utworzyli zwolennicy Rulewskiego, który został wycofany z gry. W mieście wrze jak w ulu, fatalna rzecz przed wyborami. Konieczna jest obecność w Bydgoszczy przewodniczącego Związku. Lech Wałęsa przyjmuje wyzwanie, odbywa się wielki wiec w centrum miasta z udziałem tysięcy mieszkańców. Filmujemy to. Wałęsa mówi, że niektórzy usiłują uprawiać partyzantkę, gdy tymczasem nie jest czas dla partyzantów. Oklaski i zarazem gwizdy. — Jasiu — mówi Lechu — przepraszam cię, Jasiu. — Jan Rulewski przedziera się przez tłum na estradę, jest błąd, nogi ma jak z waty. — Za czyją jesteście koncepcją — Lech tnie jak brzytwa. Dla tych, którzy nie mogą zmieścić się w koncepcji, nie ma litości.

— Może by tego nie pokazywać? — zastanawia się Adam. Burzliwa dyskusja w zespole. Dochodzimy do wniosku, że najrozsądniejsze jest kryterium prawdy.

Okaże się potem, że niezgoda jednak rujnuje. Spośród wszystkich kandydatów „Solidarności” do Sejmu, w I turze nie przechodzą tylko dwaj, w tym jeden z Bydgoszczy. Bydgoszcz kończą dwaj kandydaci rolnicy. W studiu na stole wielki bochen chleba.

Słowa Kasi: — Oto chleb, symbol dostatku, urodzaju. Dzięki chłopom polskim mimo wszystko jeszcze jest co dzielić.

Przed wojną partie chłopskie były decydującą siłą polityczną, dziś wieś jest słaba i rozbita. Ale z pewnością już wkrótce odbuduje swoją siłę. Ma liderów. Aleksander Guenter, coś z Witosa, wysoki, prosty, pewny swego. „Oj, kreślta, chłopcy, kreślta. Jak nie skreślicie, to przepadniemy”.

Krzywda wsi, i upór. Ojciec Romana Bartoszcze był w PSL u Mikołajczyka. W czasie awantury bydgoskiej, w marcu 1981 roku, razem z dwoma synami dowodził strajkiem chłopskim w budynku ZSL-u. W stanie wojennym jeden z synów zginął w tajemniczych okolicznościach. Dotąd nie wyjaśniona śmierć. Ale drugi pozostał, kandyduje do Sejmu.

Na filmie wiejska procesja, wczoraj było Boże Ciało. Od powietrza, głodu, ognia i wojny...

Od głodu...

W programie koalicyjnym zapomniano o uroczystości. Na planie gwiazdy amerykańskiej piosenki, girly, prawdziwy przedwyborczy show. Bawmy się. Ten kontrapunkt nie wypada dobrze. Na drugi dzień redaktorzy są bardzo smutni.

Wstrzymujemy oddech

W tej pracy to jest pociągające, że tak szybko można tyle przeżyć. Chwilami jest tego za dużo, wysiada mózg i boli serce. Czujemy się, jakby każdy miał się zaraz rozchorować.

Niepostrzeżenie minął piękny maj. 4 czerwca też mija jak we śnie.

W dniu wyborów trzy wejścia na antenę. Biskup gdański, Tadeusz Gocłowski, udziela Małemu Jurkowi wywiadu; mówi, że głosuje po raz pierwszy, ponieważ wcześniej od jego pokolenia nic nie zależało. Ale wszyscy wiemy, że jednak wiele zależało od Kościoła, w tym również oświadczenie od biskupa. Do głosującego Lecha Wałęsy przeciska się Kasia, udaje się jej wetknąć przewodniczącemu Związku różę do butonierki. Informacje z terenu, migawki z miasta. Oczekiwanie na wyniki.

5 czerwca już wiemy, że przeszli w I turze wszyscy nasi kandydaci prócz Paszyńskiego i Wybrańskiego z Bydgoszczy. Pracujemy dalej. „Solidarność” odniosła oszałamiające zwycięstwo i jakby nie wie, co z tym robić. Atmosfera w telewizji pełna niepokoju: co teraz będzie? Co zrobi ze swoją klęską koalicja? Może będzie się teraz szukać winnych?

Nam udziela się zmieszanie kierownictwa „Solidarności”, które trzeba jakoś przeżyć na rozsądny komentarz.

Wojna nie wybucha.

18 czerwca nasza praca definitywnie się kończy. Zdażyłam jeszcze zadebiutować jako realizator filmowy. Dwuminutowy film z dziećmi z podstawówki. Jedna z wypowiedzi dzieci: Uczyliśmy się niedawno o Konstytucji 3 Maja. To też była taka próba, została udaremniona. A teraz może wyjdzie?

Co dalej?

Zyjemy już wspomnieniami. Programy „Solidarności” w programach lokalnych nie są kontynuowane, nie zapadły jeszcze decyzje organizacyjne. Szkoda, że ciągnie się to tak długo, bo ludzie się przyzwyczaili. Telewizja spodziewa się, oczywiście, że wrócimy; nasz pokój nie został na razie zajęty, na portierni grzeckie wydają klucze. Zespół też się przyzwyczail i nie może się rozejść. Oczywiście, każdy ma jakieś zajęcia. Janusz siedzi dzień i noc w ciemni, poprawia opinię u klientów, którą wspólnik mu popsuł; jest w takich opałach, że niedoświetlone pilne zdjęcia rozda za darmo. Marek znowu wziął się za długopisy, ja — za ten reportaż-rzekę.

Ludzie dzwonią i ponaglą: dlaczego was tam nie ma? To był w telewizji nowy styl, taki serial polityczny z bohaterami o prawdziwych ludzkich twarzach. O — myślę — to jest wskazówka na przyszłość. Jednak można polubić telewizję.

Henryka Dobosz

TELEKSEM Z PRAGI:

Godzina wolności

Do tej daty władze CSRS przygotowywały się wyjątkowo starannie. Artykuły w prasie „dawały odpór”, *Rude Prawo* ostrzegało, a praskie MSZ umyło ręce od odpowiedzialności za straty fizyczne dziennikarzy i turystów zagranicznych w dniu 21 sierpnia. Już parę dni wcześniej straż graniczne kontrolowały wjazdy na podstawie imiennych list „burzycieli z Polski”. Z sąsiedniego przedziału wysadzono z pociągu do Pragi Krystynę Krauze z Gdańska.

Władze sugerują nowy Tien-an Men same podnosiły napięcie.

Na miejscu opozycyjne adresy okazały się bezużyteczne. Lenka zatrzymana, Tomasz nocuje poza domem, mieszkanie Karela pod ciągłą obserwacją. Jedni gubią ogony, podczas gdy innym zakłada się areszt domowy. Działaczom spoza Pragi nie wolno ruszać się z miejsca zamieszkania. Kontakty zerwane; jeśli gdzieś się spotkamy to tylko tam — na Placu Vaclava.

Praga to wizytówka dla Zachodu. Władze dbają by, witryny sklepów były pełne. Pseudozachodni blichtr kontrastuje z szarością zapyziałych miasteczek. Być Polakiem tutaj to rozumieć, że pozorny dobrobyt opiera się na aparacie bezpieczeństwa i bierności spacyfikowanego społeczeństwa. Przemoc jest tępą, dławi każdy niekontrolowany odruch nawet bez politycznego kontekstu. Cicho i pusto na niegdyś sławnej „Kampie”, gdzie zbierała się młodzież przy symbolicznym grobie Johna Lennona. Wąski przesmyk Velkopreskiego Namesti- oklejano portretami pieśniarza, zapalano świeczki, kładziono kwiaty

Tym razem ma miejsce jeden rozpaczliwy gest. Do pilnie strzeżonego konnego pomnika króla Wacława podchodzi młody człowiek z wiązanką kwiatów. Milicjant błyskawicznie wrywa je z ręką śmiałka, którego zabiera radiowóz. Stojący metr obok wiecznie uśmiechnięci turyści japońscy fotografują się na tle monumentu, niczego nie zauważając, a na pewno nic nie rozumiejąc.

Gdy zapada zmrok, przed hotelami i barami „Vaclaviaka” snują się cinkciarze, prostytutki i ich klientela, mieszając się z tymi, którzy nie doczekali protestu. Milicja nie zwraca na margines uwagi, bo i tak ubecy skutecznie wyłowia z tłumu znane sobie twarze z poprzednich demonstracji. Zawstydzony Martin ścisłym głosem obiecuje, że jutro to już na pewno...

I rzeczywiście — w poniedziałek po południu wiadomo już, że demonstracji nie da się powstrzymać. Setki osób w kolejce po lody, chodniki pełne. Tyśiąc osób po prostu stoi w miejscu. O 17-tej w powietrzu można „zawiesić siekierę”. Milicjanci nie mogą opanować sytuacji, szarpią się próbując rozrzedzić tłum. Kolejna próba zabrania aparatu jednemu z fotoreporterów prowokuje wybuch. Zaczynają się gwizdy, ludzie z chodników wbiegają na plac. W górę idzie transparent „Zamiast z czołgami, przychodzimy z kwiatami”; tysiące gardeł krzyczą „Svobodu, svobodu!”. Na twarzach widać radość — że się udało, że jesteśmy razem. Tłum błyskawicznie gęstnieje, tysiąc, dwa, trzy tysiące ludzi... Powiewa narodowa flaga, ktoś wyciąga wysoko gazetę sprzed 21 lat z

w określonym kierunku. Atmosfera demonstracji jest syntezą klimatów polskich z okresu KOR-owskiego i stanu wojennego, ale bez doświadczenia „Solidarności”. Milicja jest i brutalna i nieporadna — tłum radosny. Dziwi łatwość, z jaką grupy tajniaków wyciągają z tłumu poszczególne osoby i z jaką milicja wyszarpuje filmy fotoreporterom. Silne uderzenie zwała z nóg, kamera uderza o bruk.

Jeszcze ktoś rozrzuca trójkolorowe kokardki z agraftą, które wielu sobie przypina. (Chwilę potem milicjanci wyrwą je zatrzymanym z kawałkami ubrań). Formuje się zwarty kordon milicji w kaskach i z długimi pałami. Koniec wojny szarpanej, teraz — atak frontalny. Część tłumu zostaje zepchnięta w kierunku Mostu Karola, uciekających w boczne uliczki leje się woda i pałami. Spore grupki, przechodząc bokami, ponownie gromadzą się na placu, tyle że na tyłach milicji. Demonstranci rytmicznie klaszczą w pobliżu interweniującego VB (Verejna Bezpečnost). Kto klaszcze — jest przeciw. Gdy widać, że setka milicjantów szybkim krokiem się zbliża, oklaski milkną. Przez kilkanaście sekund ostentacyjnie klaszcze tylko jedna dziewczyna, inicjując kolejną falę desperackiego bicia dłońmi. Wszyscy uciekają do sklepów i knajp. Zza okna piwiarni widać jak zomowcy wloką chłopaka, który nie zdążył dobiec... Za chwilę wbiegną do wnętrza: wszyscy udają, że piją coś z naprędce pochwyconych kuflów, zomowcy bezkarnie wygarniają kogo chcą. Krzyki i gwizd podnoszą się dopiero, gdy ofiary polowania są metr za progiem.



Rys. Henryk Sawka

i grano na gitarach. Dziś przejście wyklejono oficjalnymi plakatami, zaś okoliczne mury wybielono wapnem jak po zarazie...

Już w przeddzień rocznicy inwazji 1968 roku na Placu Vaclava roi się od sił porządkowych. Milicja demonstracyjnie legitymuje przechodniów, tajniacy robią wszystko, by być zauważeni. Mówi się, że już dziś ma się coś dziać, choć nikt nie wie kiedy i co. Spotykamy przed opuszczonym mieszkaniem jednego z dysydentów. Martin, który szukał tak jak i my kontaktu wie, że trzeba iść na Plac. Byliśmy tam już w południe, ale spróbujemy jeszcze raz, mimo tego, że wówczas milicja skutecznie paraliżowała gromadzenie się choćby parosobowych grup...

dużym portretem Dubczeka. Wyniesiony na rękach młody Węgier przeprasza za udział swojego kraju w inwazji.

Czeska wolność musi się spieszyć, bo nie wie ile potrwa. Trzeba wykrzyczeć wszystko, zanim nadejdą zmasowane siły tutejszego ZOMO. Odśpiewany zostaje hymn, rozlegają się kolejne okrzyki: „Karta, Karta!”, „Solidarność”, „Havel, Havel”, „Niech żyje Polska”, „Niech żyje Dubczek”. Jednocześnie kilkusetosobowa grupa demonstruje w przeciwną część Placu Vaclava (długim na 700 metrów), pod pomnikiem króla — patrona Czech.

Tłum osiąga 4 do 4,5 tysiąca ludzi, ale wyraźnie widać, że nie ma liderów zdolnych zmienić go w pochód idący

Przez całe zajście nie leci ani jeden kamień. Tłum zdolny jest tylko do okrzyków „Ne vstid vam?!”.

Plac wypełnia niekończący się ciąg furgonów ze znakiem VB, które wywożą kilkuset zatrzymanych.

Praska wolność trwała półtorej godziny. Radio Praga podało o rozproszeniu grup chuliganów. „Chuliganów” było wielokrotnie więcej niż przed rokiem.

Tymczasem na wymarłym Placu Vaclava — normalizacja. Patrol spotyka patrol...

Jacek Kurski
Piotr Semka

Drang nach Westen

Ponad 650 obywateli NRD przeszło 19 sierpnia z Węgier do Austrii, by zaraz potem wszelkimi możliwymi sposobami dotrzeć do RFN. Dowiedzieli się z reklam w węgierskiej telewizji o festynie organizowanym wspólnie przez Węgrów i Austriaków na granicy w pobliżu Szopronu dla uczczenia demontażu żelaznej kurtyny. Przerwali więc swoje urlopy w Budapeszcie i nad Balatonem i nie zawiedli się. Graniczne szlabany podniesiono i kto żył mógł swobodnie przekraczać linię oddzielającą dwa państwa i dwie formacje ustrojowe.

Tych 650 Niemców, to tylko przysłowiowy czubek góry lodowej — zjawiska określane już jako powszechny Drang nach Westen w odróżnieniu od osławionego parcia na wschód, czemu ta nacja oddawała się z upodobaniem przez jakieś tysiąc lat. Teraz prą na zachód. Oczywiście — ci ze wschodu.

W ciągu pierwszych siedmiu miesięcy tego roku 55 tysięcy energowców wyjechało na stałe do RFN, wykorzystując wszelkie legalne sposoby. Do końca roku będzie ich ponad sto tysięcy. W ubiegłym roku 10 tysięcy ludzi wydoszło się z NRD na Zachód nielegalnie. Ile ucieczek się nie powiodło — nie wiadomo. Od pewnego czasu już się nie strzela do forsujących mur berliński czy graniczne zasieki, nie ma też automatycznie strzelających karabinów maszynowych. Przybyło więc odważnych, ryzykujących ucieczkę przez zieloną granicę. Danych za ten rok jeszcze nie znamy. Można się jednak domyślać, że zeszłoroczny wynik zostanie znacznie przekroczony.

Wraz z liberalizacją na Węgrzech i otwarciem granicy węgiersko-austriackiej, obywatele NRD znaleźli nowy sposób porzucania swej ojczyzny — co zresztą było do przewidzenia. Jak dotąd, w ciągu paru miesięcy lata, węgierska straż graniczna zawróciła około tysiąca uciekinierów. Ilu się powiodło, nikt nie wie. Kilkaset osób koczując w przedstawicielstwie RFN w Berlinie Wschodnim oraz w ambasadach tego kraju w Pradze i Budapeszcie. Placówki te musiały zresztą po paru dniach zamknąć wobec braku miejsca dla uciekinierów. Rokowania w sprawie dalszego losu tych w Berlinie stanęły w martwym punkcie. W lepszej sytuacji są ci, którzy wybrali Budapeszt. Władze RFN w trybie nagłym, przez umyślnego kuriera dostarczyły partię nowiutkich paszportów, lecz samą ambasadę zamknęły przed dalszymi naśladowcami pierwszej grupy uchodźców. Nie ma co się

dziwić, jeśli się zważy, że w tym czasie na Węgrzech przebywało w charakterze urlopowiczów ponad 200 tysięcy obywateli NRD, z których duża część — jak się przypuszcza — pojechała tam w poszukiwaniu dziury w kurtynie. Świadczy o tym liczne porzucone namioty i „Trabanty” na kempingach w pobliżu granicy austriackiej. Trzeba przyznać, że gościnni Węgrzy okazali niedosłownym uchodźcom więcej serca niż służba dyplomatyczna ich przysiężnej ojczyzny, która drzwi ambasady zamknęła im przed nosem. Węgierski Kościół katolicki zorganizował obóz przejściowy, zapewnił pożywienie. Do akcji włączyły się organizacje społeczne i dopiero na końcu podobne z RFN.

Obserwatorzy zastanawiają się, co jest przyczyną tego gwałtownego wzrostu liczby zdeterminowanych amatorów zmiany obywatelstwa wschodnio- na zachodniemieckie. Zjawisko na pierwszy rzut oka wydaje się dziwne. Wszak energowcom żyje się — jak na wschodnie standardy — całkiem nieźle. Znaczący temat mówią jednak o wzrastającej apatii, o niewierze w możliwość zaistnienia w NRD prawdziwej pierestrojki, nie mówiąc już o głośności. Młodzi nie wierzą w szansę demokratyzacji życia społecznego i politycznego, nie wierzą w dezideologizację państwa — i chyba słusznie. Wszak bez ideologii nie byłoby NRD. Ideologia jest jej najważniejszą legitymacją.

Znaczący temat mówią też o panice wywołanej tzw. „psychozą zamknięcia” — Coraz powszechniejsza w NRD jest obawa, że granice RFN zostaną zamknięte przed przybyszami, ponieważ państwo to już sobie nie radzi z napływającą rzeszą przesiedleńców. Jest to obawa raczej płonna, bo obywatele NRD w myśl zachodniemieckiego prawa mają automatycznie obywatelstwo RFN. Bardziej chyba uzasadniona jest za to obawa przed zamknięciem granic NRD — choćby dla wyjazdów na niebezpiecznie zliberalizowane Węgry właśnie. Coraz więcej ludzi dochodzi więc do wniosku, że ich ostatnią szansą jest ambasada w Budapeszcie, lub piknik przy granicy w Szopronie.

Zdają się nie słyszeć głosu członka Biura Politycznego SED Kurta Hagera, który stwierdził niedawno, że socjalizm w wydaniu energowskim jest pierwszą formacją społeczną w historii, która pozwala człowiekowi być człowiekiem.

ATG

Niebawem...

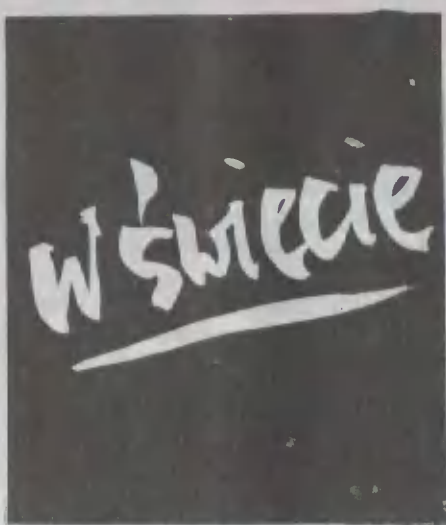
W wywiadzie dla irackiej gazety „Al-Irak” Nicolae Ceausescu mówił o dorobku i perspektywach Socjalistycznej Republiki Rumunii:

W ciągu 45 lat, jakie upłynęły od zwycięstwa antyfaszystowskiej i antyimperialistycznej rewolucji wyzwolenia społecznego i narodowego, Rumunia dopracowała się sukcesów na skalę historyczną...

Wychodząc z obecnego poziomu rozwoju niedawne plenium KC partii opracowało wytyczne programowe rozwoju Rumunii do 2000 roku, które zostaną zatwierdzone przez XIV zjazd partii. Mamy zamiar kontynuować politykę zrównoważonego rozwoju przemysłu, rolnictwa i innych dziedzin działania, stawiając na plan pierwszy rozwój intensywny, oparty na najnowszych osiągnięciach nauki i techniki we

wszystkich dziedzinach... Na podstawie realizacji tych programów zamierzamy zapewnić ukrośnienie Rumunii, począwszy od 1991 roku, w nowe stadium rozwoju — stadium budowy wyższej fazy wszechstronnie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego i tworzenia warunków do przejścia w przyszłości — na początku pierwszego dziesięciolecia trzeciego tysiąclecia — do ucielenia w życie komunistycznych zasad pracy i życia.

Relacjonująca wywiad Słodkiego Pocałunku Ojczyźnej Ziemi (to jeden z tytułów używanych wobec Conductora w prasie rumuńskiej) agencja AGERPRESS nie precyzuje wielkości dziennych racji kukurydzy, oleju i uwielbienia dla Półboga Nowej Rumunii.



Japonia w demoludach

Z Japonii docierać zaczynają doniesienia, że wielkie firmy z tego kraju, podbiwszy świat kapitalistyczny, zastanawiają się nad inwestycjami w socjalistycznych krajach Europy Wschodniej. Chodzi — jak donosi Reuter — przede wszystkim o Polskę i Węgry, a dopingiem do działań w tym kierunku stało się wezwanie rządów „najbogatszej siódemki”, wystosowane niedawno po spotkaniu w Paryżu a skierowane do kapitału prywatnego, by wsparł reformy polityczne i ekonomiczne w tych dwóch krajach.

Ów doping napotyka jednakże nadal pokutujące wśród Japończyków wątpliwości co do powodzenia tych wysiłków reformatorskich. Nie należy więc spodziewać się jakiegos naglego napływu inwestycji japońskich. „Oba kraje zrewidowały swoje systemy przyjmowania inwestycji zagranicznych i w tym sensie system, poprzez który firmy japońskie mogą dokonywać wspólnych przedsięwzięć (*joint ventures*) jest w zasadzie zbudowany. Ale samo to nie oznacza, że japońskie firmy będą chciały natychmiast inwestować w Polsce i na Węgrzech” — powiedział przedstawiciel Japońskiego Stowarzyszenia na rzecz Handlu ze Związkiem Radzieckim i Europą Wschodnią.

Polska i Węgry są oczywiście zainteresowane japońską technologią i japońskimi inwestycjami. Węgry nawet zatrudniły byłego japońskiego ministra spraw zagranicznych Saburo Okitę w charakterze zagranicznego doradcy ekonomicznego rządu. Zresztą — jak dotąd — właśnie Węgry wydają się Japończykom pewniejszym partnerem — mimo małego, w porównaniu z polskim, rynku wewnętrznego. Istnieje już pięć dużych japońsko-węgierskich *joint ventures* — w przemyśle paszowym, chemicznym i w handlu, zaś znany koncern motoryzacyjny Suzuki od czterech lat — jak dotąd bez powodzenia — stara się o utworzenie wspólnego przedsięwzięcia w celu produkcji małych samochodów osobowych na Węgrzech.

Nie ma natomiast dotąd ani jednego przedsiębiorstwa polsko-japońskiego. Firma Daihatsu chciałaby podobno wznowić rozmowy w sprawie produkcji w Polsce samochodów osobowych, zaś wielki koncern Asahi rozważa polską propozycję uruchomienia wspólnego przedsięwzięcia w celu produkcji szkła okiennego. Przyginiatający ciężar zadłużenia Polski, wynoszącego 39 miliardów dolarów i trwający kryzys polityczny powściągają japoński entuzjazm inwestycyjny — stwierdzają przedstawiciele firm i eksperci handlowi.

Nieoczekiwanym atutem Polski i Węgier w staraniu się o japońskie, a także południowokoreańskie, inwestycje może być... zjednoczenie Europy Zachodniej w 1993 roku i rozwój współpracy handlowej EWG z tymi dwoma krajami. Mogą one bowiem zaoferować Japończykom wejście tymi drogami na zachodnioeuropejski rynek, broniący przed nimi wysokimi barierami celnymi.

W Waszyngtonie nie tańczą...

Mianowanie przez komunistycznego prezydenta pierwszego niekomunistycznego premiera w jaltańskiej Europie zostało natychmiast uhonorowane pierwszymi stronicami gazet oraz różnymi mniej lub bardziej oficjalnymi oświadczeniami. W ostatniej chwili przed zamknięciem tego wydania TG zdołaliśmy kilka odnotować.

Organ rządu radzieckiego „Izwestia” określił Tadeusza Mazowieckiego jako rozsądnego człowieka, cieszącego się opinią skłonnego do kompromisu. Moskiewska korespondentka BBC na tej podstawie wysnuwa wniosek, że kierownictwo radzieckie może ustosunkować się przychylnie do nowego rządu polskiego.

Natomiast organ rumuńskiej kompartii „Scinteia” potępił nominację Mazowieckiego, stwierdzając, że jest ona sprzeczna z interesami Polski i socjalizmu. Mazowiecki jest powiązany z ośrodkami imperialistycznymi, co uzasadnia niepokój o dalsze losy i integralność Układu Warszawskiego...

Radio Praga stwierdziło, że polscy komuniści mają przed sobą twardą walkę, dodając, że opozycja zmierza do izolacji PZPR w rządzie i społeczeństwie, co może mieć poważne konsekwencje dla stabilizacji politycznej.

Informacje o nowym polskim premierze w NRD i w Bułgarii były raczej krótkie i wstrzemięźliwe. Z sympatią zaś powitano polskie zmiany w Jugosławii.

Francuski minister spraw zagra-

nicznych Roland Dumas obiecał poparcie nowemu polskiemu rządowi. W depeszy gratulacyjnej do premiera Mazowieckiego wyraził gotowość złożenia wizyty w Warszawie i podpisania umowy o współpracy i wymianie handlowej, zawartej w lipcu między Polską a Wspólnotą Europejską.

Brytyjskie ministerstwo spraw zagranicznych określiło mianowanie nowego premiera PRL wydarzeniem historycznym i wyraziło nadzieję, że pomoże ono Polsce w osiągnięciu demokracji i stworzeniu rządu, który odzwierciedlać będzie życzenia społeczeństwa. Rzecznik spraw zagranicznych brytyjskiej Partii Pracy Gerald Kaufman zaapelował do rządu brytyjskiego i innych państw zachodnich o wypracowanie sposobów rychłej pomocy gospodarczej dla polskiego rządu.

Apel ten uprzedził rzecznik prasowy prezydenta Georga’a Busha, Marvin Fitzwater, oświadczając, że nowy polski rząd nie może liczyć na szybkie zwiększenie pomocy amerykańskiej. Natomiast rzecznik Departamentu Stanu Richard Butcher poinformował świat, że ówczesny departament wcale nie tańczy na ulicach z radości z powodu mianowania Mazowieckiego. Jest to głęboko zgodne ze stosowaną powszechnie w stosunkach między państwami zasadą wzajemności. Jak wiadomo, minister Olechowski nie tańczył w alei I Armii Wojska Polskiego z powodu wcześniejszej nominacji Butchera.

Coraz mniej związkowców

Burzliwy okres rozwoju ruchu związkowego — pisze z Bonn Wilhelm Lange w biuletynie INPRESS — należy w większości wysoko uprzedmiotowionych krajów do przeszłości. Organizacje związkowe usiłują jedynie dotrzymać kroku społeczeństwu produkującemu, przekształcającemu się w społeczeństwo usług i obiegu informacji. Przemian w ruchu związkowym wymaga także postępujące wiązanie się przedsiębiorstw na skalę międzynarodową.

Kwestie klasowe już nie skłaniają pracobiorców do zrzeszania się w związkach zawodowych. Ich interesów mogą bronić skutecznie rady pracownicze. Związki zawodowe w wielu krajach uprzemysłowionych odczuły w ostatnich dziesięciu latach wręcz dramatyczny spadek liczby członków. I tak we Francji do związków należy tylko 15 procent zatrudnionych, zaś w Wielkiej Brytanii w tym czasie liczba członków spadła z 13 do 10 milionów.

W RFN sytuacja przedstawia się nieco lepiej. Na 24 mln zatrudnionych, 7,8 mln to związkowcy zrzeszeni w DGB. Ale w kartotekach 17 związków zawodowych należących do DGB jest coraz więcej emerytów i rencistów; na przykład w Związku Zawodowym Pracowników Górnictwa i Energetyki rencistów lub emerytów jest już co drugi członek. Nieliczni są pracownicy umysłowi i młodzież. Tylko 18 procent pracowników umy-

słowych to związkowcy, a ich udział w masie członków równa się 22,6 procent. Tylko 20 procent zatrudnionych w wieku poniżej 25 lat należy do jakiegos związku.

Planowana jest kampania mająca przyciągnąć obie te grupy. Zakłada się, że w jej wyniku wstąpi do związków 1,4 mln pracowników umysłowych. Nie będzie to proste. Wystąpienia czołowych działaczy uważa się za bezbarwne, wyprane z treści politycznych; na zebraniach związkowych frekwencja jest bardzo słaba. Od lat lansowane hasło 35-godzinnego tygodnia pracy i wyższej zapłaty za pracę straciło na atrakcyjności.

Zrzeszenie Niemieckich Związków Zawodowych (DGB) z siedzibą w Düsseldorfie znalazło się w trudnym położeniu finansowym, nie mogąc podwyższyć wpływów do budżetu, wynoszących rocznie 220 mln marek. Około 10 mln marek zamierza się wobec tego zaoszczędzić na kosztach personalnych. DGB zwolni z pracy 180 spośród około 2000 pracowników etatowych i rozwiąże 65 z istniejących 215 biur powiatowych. Jest to, zdaniem zarządu DGB, zaledwie pierwszy krok reformy strukturalnej, mającej przystosować działalność tej organizacji do nowych warunków po blisko czterdziestoletnim zastoju.

G.K.

Czy nas to czeka?

Około 30 tysięcy ludzi wzięło udział 19 sierpnia w demonstracji w jugosłowiańskiej republice Czarnogóry, protestując przeciwko nieskuteczności walki rządu federalnego z inflacją, która w lipcu osiągnęła poziom 800 proc. rocznie. Mówcy na wiecu, zorganizowanym przez władze lokalne, zwywali premiera Ante Markovicia do podjęcia antyinflacyjnych działań

w trybie pilnym, by uchronić ludność od głodu. Jeden z robotników powiedział, że wkrótce biedni będą zmuszeni sięgnąć po mienie tych, którzy mają za dużo.

Premier Marković objął kierownictwo rządu w marcu br. Dążył on do ożywienia jugosłowiańskiej gospodarki drogą uyrunkowienia.

Redaguje zespół: Alicja Balińska, Tadeusz Bolduan, Wojciech Charkin, Adam Derewicz, Henryk Dobosz, Piotr Dominiak (kierownik działu ekonomicznego), Zbigniew Gach, Andrzej Gołębiowski, Izabella Greczanik-Filipp (kierownik działu informacyjnego), Jan Jakubowski (kierownik działu politycznego), Adam Kinaszewski, Maciej Kostun, Grzegorz Kurkiewicz, Andrzej Liberadzki (zastępca redaktora naczelnego), Maciej Łopiński (redaktor naczelny), Maria Mrozińska (kierownik działu społecznego), Piotr Semka, Tadeusz Skutnik (sekretarz redakcji), Małgorzata Sokółowska, Edmund Szczesiak, Maciej Zakiewicz. Opracowanie graficzne: Wiesław Grubba.

Adres Redakcji: 80-958 Gdańsk, ul. Wały Piastowskie 24, tel.: 38-44-08, 38-43-20, 38-43-65, 38-43-46, telex 0513160, 0513170. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowywania materiałów nie zamówionych.

Wydawca: Tymczasowy Zarząd Regionu Gdańskiego NSZZ „Solidarność”, 80-958 Gdańsk, ul. Wały Piastowskie 24. Informacje o prenumeracie: TZRG NSZZ „Solidarność”, tel. 38-44-00. Skład: „Anima” sp. z o.o. w Gdańsku. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne, 75-012 Koszalin, ul. A. Lampego 18/20.

Cena pojedynczego egzemplarza: 150,- zł

Nr indeksu 379549. Zam. D-541 W-1

TYGODNIK GDAŃSKI

Krzyż Pański Lecha Wałęsy

Mówią, że PRL to państwo totalitarne. Może tak, ale przynajmniej od 1956 roku, od Października pisanego wtedy dużą literą, zawsze były obszary życia duchowego, do których władza bezpośrednio nie miała dostępu, choć nie zaprzestała penetracji — różne bractwa, oazy, duszpasterstwa, wreszcie w latach 70-ych załazki wolnych związków zawodowych, KOR, KPN i podobne formacje. Tymczasem „totalitarny” znaczy całkowity, wszechwładny. Natomiast od swego zarania PRL na pewno jest państwem ideologicznym, choć panującej ideologii daleko teraz do klarowności osiągniętej za życia Józefa Wissarionowicza Stalina. Co więcej — wbrew pozorom i manewrom, będącym tylko zmianą taktyki — nie zamierza przestać nim być.

Państwowa TV i także radio, będące w oczach władzy równie ważnym instrumentem, jak aparat przymusu, dysponują na zawołanie zastępami ideologów na etatach komentatorów, zdolnych wskazać nieomylnie maluczkim, co dobre, a co złe. Ci wytrawni propagandyści mają zawsze w pogotowiu gadające głowy. Telereporterzy rozpytują po ulicach całkiem przypadkowych przechodniów i oto większość, o dziwo, z punktu odpała wypowiedź obiektywnie słuszną i mimo wahań przecież „za”. Na koniec puszcza się, by nie przesłodzić, czysj pojedynczy odmienny sąd o sprawie — na zasadzie łyżki dziegciu w beczce miodu. Nie są to obrażki sprzed lat, ale niestety wizja i fonia 1989, szczególnie w programie pierwszym.

Państwo ideologiczne ma także pulk, a może dywizję działaczy oświatowych, inspektorów czy kuratorów i dyrektorów różnych szkół o niezachwianym i nie skrzywionym kregosłupie ideologicznym, trzymających w ryzach podległych im nauczycieli.

Pogodziłbym się z istnieniem państwa ideologicznego, gdyby wiarę w marksizm-leninizm, socjalizm realny, wyższość centralnego planowania nad rynkiem i tym podobne planowania nad rynkiem i tym podobne planowania zachowało wyłącznie na użytek aparatu w szerokim rozumieniu tego terminu. Aparat zawsze żył i nadal żyje życiem zamkniętym, własnym, do tego dys-

ponując swoją dobrze prosperującą bazą — od jasnych łąk Arłamowa począwszy, a na zamkniętych konsumach z przecenionymi towarami skończywszy. Niech ludzie aparatu wierzą, w co chcą, oczywiście w swoim gronie. Natomiast mój sprzeciw budzi narzucanie z różnych propagandowych tub, funkcjonujących za pieniądze podatników, umiejętnie wyselekcjonowanych informacji lub komentarzy całkowicie odmiennych od tego, co myśli społeczeństwo w podstawowej masie szacowanej na około dwóch trzecich dorosłej populacji PRL, co wykazał dobitnie dzień 4 czerwca.

Polacy dawniej — co pięknie tłumaczył Poeta w „Weselu” — czuli Polskę w niespokojnie pulsujących sercach. „A to Polska właśnie...” My wszyscy tymczasem podświadomie nosimy w piersi implantowany kawałek PRL, państwa ideologicznego. To dlatego wolimy nie zauważać, kto na przykład nadal patroluje ulicom polskich miast, jaki kit wciska się naszym dzieciom w nadal obowiązujących podręcznikach. To dlatego milcząc przyzwalamy, iż orderzy z kształtu i nazwy historyczne sponowano do rangi „krzyża chlebowego”, przyznawanego we własnym kregu władzy na przykład programowym ateistom z TKKS aktywowi i pasywowi PRON, ormowcom i tepeperowcom. Młodzi w khaki i blue, co nie wachali prochu, noszą nad sercem więcej orderowych baretek niż marszałek Żukow i generał Eisenhower razem wzięci.

Może wobec tego należałoby konsekwentnie dążyć do budowy alternatywnego społeczeństwa z wszystkimi niemal po kolei instytucjami, może nawet z jakąś gwardią narodową w miejsce Milicji Obywatelskiej? Albo tworzyć niezależne orderzy i medale, nadawane przez własne niezależne kapituły? Dajmy na to Wielką Gwiazdę Solidarności z Mieczami za zasługi kombatanckie 1981-1989, albo — skoro „Gwiazda” trochę się kojarzy z opozycją wewnątrz opozycji — Krzyż Pański Lecha Wałęsy?

Jan Chrzan

Wpadł sąsiad z dołu. Gadu o tym, gadu o tamtym: i siałym. Widzę, że coś go gryzie, a śmiałości nie ma walić wprost.

— Mów, Zygmunt — powiadam. — Co cię gnębi? — Odchrząknął. — Głupia sprawa — zaczyna niepewnie — nie kumam różnicy między wielkością a szerokością.

Zdaje się wybałuszyłem oczy, bo się zmieszał jeszcze bardziej...

— Może między wielkością a małością, albo długością i szerokością?

— No nie — obraził się — taki tępy nie jestem.

Palnąłem głupstwo. Przeprasiłem i zacząłem odpytywać, o co mu dokładnie chodzi. Po dłuższym dochodzeniu ustaliłem, że o koalicję.

Od lat komuniści nawoływali do „wielkiej koalicji” w rządzie. Nie udało się. Teraz zawiązała się „mała koalicja” i nazwała „szeroką”. Skoro w rządzie „szerokiej koalicji” mają być komuniści, to czym się ona różni od „wielkiej”?

Koalicje

Muszę przyznać, że zabił mi klina tym pytaniem. Sam nie wiedziałem, zaczęliśmy więc wspólnie dochodzić różnicy. Dochodzenie było żmudne, a rezultat niezbyt klarowny. Dlatego tylko streszczam drogę dedukcji:

Nową koalicję należało jakoś nazwać. Nie mogła być już „wielka”, bo tę nazwę zawarowali sobie komuniści. Nie mogła być „mała”, bo ma większość w parlamencie. A więc pozostała „szeroka” — z konieczności. To ważne.

Ustaliwszy powyższe, przystąpiliśmy do dalszego różniczkowania. Komuniści, mówiąc o koalicji „wielka”, rozumieją pod tym mały udział opozycji; nowi koalicjanci mówiąc „szeroka”, pozostawiają komunistom wąski margines. W jednym i drugim przypadku chodzi o miejsce dla przeciwnika. Raz jest ono „małe”, a raz „wąskie”. I tu tkwi sedno. Nie w nazwie samej, a w jej przeciwieństwie.

Jak zwal, tak zwal; ważne, kto w kacie będzie stał.

Po wspólnym rozwiązaniu problemu filologicznego doszliśmy do przekonania, że pora się rozejść. Do roboty. On na swój dźwięk, ja do swojej redakcji. Celowo mu nie powiedziałem (aby nie mieć), że tak oto stworzyliśmy precedens w postaci koalicji problemowej.

Badziewiak

URYNKOWIENIE

Bez cudzysłowu. Zwięźle, trafnie, elegancko — n'est-ce pas?

Określenie to padło publicznie po raz pierwszy kilka miesięcy temu z ust jakiegoś eksperta ministerialnego niższej rangi. Choć należało do uodpornionych na wszelkie nonsensy PRL-czyków, w najczarniejszych przypuszczeniach nie sądziłem, że w post-gierkowskiej dobie to słówko-potworek może zrobić karierę. Zrobiło. Kilka tygodni temu powtórzył je minister, następnie wicepremier, a wreszcie, po nobilitacji przez „Trybunę Ludu”, zaczęło padać z innej wysokiej trybuny: sejmowej. Dobił mnie prof. J. Mujżel (główne wydanie dziennika TVP). Nie tylko dlatego, że użył owego koszmarnego terminu w całym majestacie długich tytułów naukowych, lecz również i z tego względu, że pouczał nas o dobrodziejstwach „urynkowania” gospodarki żywnościowej, będąc sam przedstawicielem „ekonomii politycznej socjalizmu”. Nadal nie wszyscy wierzą, że prawa ekonomii są jedyne i obiektywne, czyli dla wszystkich sposobów gospodarowania takie same.

Wiemy, że głoszenie przez teoretyków marksistowskich zasad takiej ekonomii (i to, że taką chciano siłą wprowadzać), było przyczyną naszej, i nie tylko naszej, katastrofy. I oto obserwujemy, że formy u nas wprowadzają się zmieniają, lecz istota rzeczy pozostaje taka sama. Ustrój gospodarczy kraju jest nadal ciężko chory i — co najgorsze — brak konkretnego programu ratowania sytuacji. Zamiast głębokich reform w dziedzinie finansów, systemu podatkowego i prawa cywilnego, zaaplikowano kolejną — zakamuflowaną „urynkowaniem” — operację „cenowo-dochodową”. Ustawiono parawan dla wzrostu cen i idącego za tym — choć w mniejszym stopniu — wzrostu dochodów, jak się głosi, w imię zapobieżenia destabilizacji.

Destabilizacji czego? Uzdrawienia naszej gospodarki, będącej w głębokiej zapaści, nie dokona się przez manipulację cenami skupu, podnoszonymi co dwa tygodnie o kilkaset złotych. Chroniczną chorobę rynku utrwalają nie tylko nierealne ceny niektórych artykułów żywnościowych, lecz wadliwe funkcjonowanie całego mechanizmu gospodarki kraju.

Ogłoszenie o wprowadzeniu gospodarki rynkowej w zakresie obrotu ar-

tykułami żywnościowymi było klasyczną wolą ze znanej nam praktyki dekretnowania zjawisk ekonomicznych. Utrzymano centralne rozdzielnictwo niektórych artykułów (np. maki żytniej), tylko ok. 12 proc. masy mięsnej pozostawiono w wolnym obrocie, nie naruszono pozycji monopolu „Społem”, „Samopomocy Chłopskiej” i innych matadorów skupu i przetworstwa. Jak na ironię chroni je ustawa o spółdzielczości. Spółdzielczość powołana do łamania monopolu, ten właśnie monopol uprawia. Temat godny pióra Kafki lub Orwella.

Betonowych fundamentów starego systemu nie tknięto. Dodajmy do tego kompromitujące okoliczności, w jakich przebiegała operacja hałaśliwie reklamowana jako rewolucyjne odejście od dotychczasowych metod działania. Oto 25 lipca prasa rządowa doniosła, że decyzją Rady Ministrów nie będzie wolnego rynku artykułami spożywczymi od sierpnia, bo nie ma do tego warunków. „Urynkować” się będzie, owszem, ale później, w czasie bliżej nie określonym. Trzeba bowiem działać rozważnie, a nie nerwowo, gdyż odpowiedzialność jest zbyt duża. Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że 1 sierpnia urynkowanie jednak wchodzi w życie, gdyż jest to jedyne sensowne wyjście z istniejącego ślepego zaułka. Tak więc stało się, mimo iż: nie nastąpiło uprządkowanie stosunków rynkowych w pozostałych dziedzinach gospodarki; nie wzmocniła się pozycja pieniądza, stanowiącego podstawę zdrowej gospodarki rynkowej; nie zmniejszono monstrualnego deficytu budżetowego, będącego źródłem inflacji, przy równoczesnej pochopnej decyzji o indeksacji.

Ze strony rządowej pada argument, że zdecydowano się na to w obawie przed posadzeniem o bierność, a tym samym przed gniewem ludzi. A właśnie go wywołano, o czym świadczy fala strajków. Ludzie kierujący naszym krajem zachowują się jak nastolatki kręcące gałką zepsutego radiodiodnika. Swe posunięcia opierają na rozpaczliwej świadomości, że coś trzeba zrobić. „Skoro nie wiemy jak — rozumują — spróbujmy tak, a później tak. Może coś z tego wyjdzie”. O losach kraju decydują zatem ignorancja i nieobliczalność.

Jan Leski

